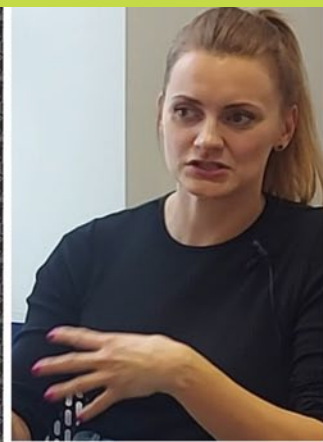




POROZMAWIAJMY O ŁODZI CZĘŚĆ I

ULICA WŁÓKIENNICZA
FOT. DOROTA CERAN

KRONIKA MIASTA ŁODZI

POROZMAWIAJMY O ŁODZI CZĘŚĆ I



Wydawca:
Urząd Miasta Łodzi

Redaktor naczelny:
Mariusz Goss

Redakcja:
Dorota Ceran
Arkadiusz Grzegorzczak
Anna Janocha

Kronika Miasta Łodzi, ul. Tuwima 10
90-430, tel. (42) 638-44-82
e-mail: d.ceran@uml.lodz.pl

Projekt okładki:
Dorota Ceran

Layout:
Marek Sitkiewicz

Skład i projekt numeru:
Aleksandra Bartosik
Visuall s.c.

Druk:
ZP SINDRUK

Wykorzystano zdjęcia:
Prywatne zbiory autorów, archiwum UML, domena publiczna

ISSN 1231-5354

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.

W tekstach przeznaczonych do publikacji zastrzegamy sobie prawo do zmian i skrótów.

Kronika Miasta Łodzi jest pismem bezpłatnym i nie jest przeznaczona do sprzedaży.

SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI	7
MOJA MAŁA OJCZYZNA Wywiad z Hanną Zdanowską	11
STĄD JESTEM, TU SIĘ WYCHOWAŁEM... Wywiad z Profesorem Maciejem Dunajskim	21
ŁÓDŹ JEST PRAWIE NIE DO POZNANIA Wywiad z Profesorem Piotrem Kasprzakiem	31
ŁÓDŹ JEST MOJA Wywiad z Gołą Tencer	45
TO JEST PO PROSTU MÓJ DOM Wywiad z Aleksandrą Urbańczyk-Olejarczyk	57
NAJBARDZIEJ PRZYJAZNE MIEJSCE NA ZIEMI Wywiad z Anną Marią Wesołowską	76
MIASTO Z GIGANTYCZNYMI MOŻLIWOŚCIAMI Wywiad z Joanną Woś	87
ŁÓDŹ BRZMI NAPRAWDĘ DUMNIE Wywiad z Donaldem Tuskiem	99

OD
REDAKCJI



Są miasta, których mieszkańcy mogą liczyć na wsparcie sił natury, na piękno otaczającego krajobrazu. Otoczone górami, poprzecinane rzekami, leżące nad morzem, wśród jezior... Łodzianie mogą polegać wyłącznie na sobie. Bo tylko siła ich talentów, determinacji a nie- rzadko – cierpliwości, zbudowała tę potężną, bogatą aglomerację.

Pierwsi wielcy łodzianie nie pochodzili stąd. Karol Scheibler urodził się w niemieckim Monschau, Izrael Poznański w pobliskim Aleksandrowie, Ludwik Geyer – w Berlinie. Przedsiębiorcy przybywali z całej Europy uznając Łódź za idealne miejsce do prowadzenia interesów.

Zatępy włókniarek i włókniarzy także przybywały tu z bliższych i dalszych wiosek i małych miasteczek.

Zawrotnie szybki rozwój miasta jako ośrodka przemysłowego sprawił, że powstała liczna, wielonarodowa rzesza łódzkiego mieszczaństwa, obok jeszcze liczniejszej rzeszy środowiska robotniczego.

Truizmem byłoby powtarzanie tego wszystkiego, co wiemy o wielokulturowości miasta, o fabrykanckich fortunach i ciężkiej pracy włókniarzy. Pamiętajmy wszakże, że ci wszyscy ludzie stworzyli Łódź taką, jaką znamy dzisiaj. Łódź, która zaniedbana w trudnych latach PRL, znów zachwyca swoim secesyjnym czarem i potęgą monumentalnej, fabrycznej architektury.

Łódź, jak każde miasto, to ogrom spraw, rozmaitość marzeń, sukcesów, także – trudnych wspomnień, tęsknot i żalu.

Kronika Miasta Łodzi postanowiła w jubileuszowym roku miasta rozpocząć cykl prezentacji wybitnych łodzian pt. „Porozmawiajmy”. Rozmawiamy bowiem z tymi, których korzenie są tu, którzy - często od lat mieszkając z dala od swojego rodzinnego miasta – Łódź nazywają swoim miejscem na ziemi.

Oddajemy w Państwa ręce pierwszy tom rozmów z ludźmi, którymi szczyli się Łódź i którzy swoje miasto głęboko w sercu chowają.

Jako, że jest to tom otwierający cykl, zaprosiliśmy do rozmowy kogoś, kto nie jest łodzianinem, kogoś, kto głęboko rozumie wagę tożsamości lokalnej, sam będąc Kaszebrą. Donald Tusk spoglądając na Łódź z dalekiej perspektywy patrzy jako historyk na minione dzieje miasta, i jako polityk – na jej spektakularny rozwój ostatniej doby.

Zapraszamy do lektury... i przed monitory. Bowiem za sprawą kodów QR, które zamieszczamy pod tekstami znajdą Państwo filmowe wersje wywiadów.

MOJA MAŁA OJCZYZNA

Wywiad z Hanną Zdanowską

INŻYNIER ŚRODOWISKA, SAMORZĄDOWIEC I POLITYK,
POSŁANKA NA SEJM VI KADENCJI.

OD 2010 PREZYDENT ŁODZI.

W WYBORACH SAMORZĄDOWYCH W 2018 PO RAZ TRZECI
ZOSTAŁA WYBRANA NA PREZYDENTA ŁODZI, OTRZYMUJĄC
W PIERWSZEJ TURZE GŁOSOWANIA 70,22% GŁOSÓW.
PREZYDENT MIASTA ŁODZI.

Rozmawia – Mariusz Goss, redaktor naczelny Kroniki Miasta Łodzi



Mariusz Goss: Łódź nie leży nad morzem, nie otacza nas piękno górskiego krajobrazu, nie mamy wielkiej rzeki... tak naprawdę wszystko, co stanowi o atrakcyjności naszego miasta, wypracowali łodzianie. Czy czuje się Pani spadkobierczynią poprzednich pokoleń?

Hanna Zdanowska: Nie tylko spadkobierczynią, ale mam nadzieję, że także kontynuatorką wszystkich działań, które poprzednie pokolenia zrobiły, by stworzyć to unikatowe na skalę polską, europejską a myślę, że i światową – miasto. Miasto stworzone przez ludzi, nie przez króla, nie przez księcia, a przez zwykłych ludzi.

W jakich okolicach Łodzi się Pani wychowała?

Wiadomo – ja jestem dziewczyna z Bałut. Później, w okresie wczesnodziecięcym rodzice przeprowadzili się na Polesie. W związku z tym te dwie dzielnice na stałe wpisały się w moje życie. Potem, w dorosłym życiu, z Chojen z kolei – wróciłam na Polesie.

A jak ukształtowała się Pani droga zawodowa?

Z chwilą, gdy byłam w bardzo młodym wieku, w wieku licealnym, moje marzenia błądziły między archeologią śródziemnomorską, badaniem świata zwierząt – fauny i flory, później był pomysł na prawo aż w końcu poszłam na politechnikę (Politechnika Łódzka – przyp. red.) na wydział budownictwa i architektury, konkretnie – na inżynierię środowiska. Marzyło mi się, żeby zmieniać świat. Minęło trochę czasu i znowu jestem w tym samym miejscu. Oczywiście, w międzyczasie nastąpiły jakieś zmiany związane z ochroną środowiska, ale teraz widzę, że one stały się zmianami koniecznymi, a nie fanaberią młodej osoby, która chciała fajniejszego świata wokół. Myślę, że marzeniem każdego z nas jest, żeby naszym wnukom, prawnukom oddać to, co od nich pożyczaliśmy. Bo przecież klimat, planetę – pożyczamy od nich. I myślę, że to jest teraz moje główne przesłanie – pragnę, by po sobie pozostawić piękną, zieloną i przede wszystkim – zeroemisyjną Łódź.

Ale zostaniemy jeszcze chwilę na tej uczelni. Jak Pani wspomina czasy studenckie, politechniczne?

A czy ktoś może źle wspominać czasy studenckie? To młodość i to jest naturalne, że wraca się z sympatią do czasów młodości. A to były naprawdę fajne czasy. Przede wszystkim – ja miałam przyjemność jeszcze mieć kontakt z wykładowcami, którzy pamiętali dawną kindersztubę i dawne czasy. To było coś niesamowitego – mieć

zajęcia z profesorami jeszcze przedwo-

jennymi, którzy kończyli swoją karierę zawodową. To było jakby wkro-

czenie do innego świata... do

świata wysokiej kultury, erudy-

cji, niesamowitej umiejętności

budowania relacji student-

wykładowca. To były inne

czasy – raz jeszcze to powtórzę.

Czy teraz jest gorzej, czy lepiej?

Nie chcę tego komentować, bo

przecież teraz inaczej wygląda świat

nauki. Ale wtedy było to takie zetknięcie „dziew-

czyny z dobrego domu” ze światem wysoce in-

telektualnym. Ja wywodziłam się ze środowisk

przemysłowych i z rodziny raczej w tym kierunku

budującej swoją przyszłość i teraźniejszość

przez lata, a to było takie spotkanie ze światem

nauki na bardzo wysokim poziomie. I to było fan-

tastyczne. Ale cudowne też było poznanie no-

wych środowisk, nowych kolegów, koleżanek.

W większości jednak kolegów. Kobiety były

rzadkością, poza wydziałem włókiennictwa, gdzie

zdecydowanie więcej było dziewczyn. Może jesz-

cze architektura miała jakąś grupę dziewczyn...

A czy ktoś może źle wspominać czasy studenckie? To młodość i to jest naturalne, że wraca się z sympatią do czasów młodości. A to były naprawdę fajne czasy.

a na budownictwie, na ochronie środowiska było nas bardzo mało. I myślę, że to też było fajne...

Męska część studentów uniwersytetu (Uniwersytetu Łódzkiego – przyp. red.) zawsze powie, że ich ulubione miejsce to Klub BALBINA i łączący się z nim akademik, gdzie była zdecydowana przewaga kobiet. A jak to wyglądało na politechnice z punktu widzenia kobiety?

Była zdecydowana przewaga mężczyzn i to było bardzo atrakcyjne, nie powiem. Ale czy wtedy myślało się o tym? Ja raczej myślałam, że wkraczam w dorosłość, że fajnie jest mieć możliwość stanowienia o sobie, decydowania, i że super jest możliwość budowania czegoś już samodzielnie. Dzisiaj się śmieję, bo wiem, że część łodzian nazywa mnie „Bob Budowniczy”. Szczególnie moje najbliższe otoczenie, które chyba ma czasem dosyć tych moich wszystkich projektów budowlanych, które staram się co rusz wynajdywać i mobilizować, żeby to, czy inne przedsięwzięcie realizować. Ale to właśnie było to, co w końcu mnie pociągnęło. Tak jak powiedziałam w pierwszych słowach naszego spotkania, czyli o tym, co było dla mnie szalenie istotne w wieku licealnym – poszukiwanie czegoś innego. Zaczęłam od archeologii, potem było prawo, skończyłam na budownictwie, a właściwie na inżynierii środowiska - czyli te ciągoty do rze- czy namacalnych we mnie zostały.

Część łodzian nazywa mnie „Bob Budowniczy”. Szczególnie moje najbliższe otoczenie, które chyba ma czasem dosyć tych moich wszystkich projektów budowlanych, które staram się co rusz wynajdywać i mobilizować, żeby to, czy inne przedsięwzięcie realizować.

Bo jednak budownictwo to jest tworzenie czegoś na dłużej. Nie poszukiwanie śladów przeszłości, nie rozpatrywanie pod względem filozoficzno-prawnym różnych pojęć i casusów, a jednak budowanie czegoś konkretnego. Czegoś, co widać i jest namacalne. Taki bezpośredni realizm i możliwość tworzenia czegoś namacalnego, co można dotknąć w każdej chwili, jest dla mnie szalenie istotne.

Ludzie mówią, że zarządzanie Łodzią jest jak prowadzenie czołgu. Nie dość, że ta droga jest kręta, to trzeba łapać dobrze zakręty.

I jeszcze jest dziurawa...

I jak Pani Prezydent daje sobie z tym radę?

To chyba pytanie do mieszkańców – jak mnie oceniają. To nie jest pytanie do mnie. Wiem, że mogłabym więcej, że mogłabym lepiej i cały czas czuję niedosyt i mam wrażenie, że zbyt szybko upływa czas. A ja mam jeszcze tyle do zrobienia... Z tej racji, że przez lata Łódź czekała na zmiany, na faktyczne wydobywanie jej z czeluści zapomnienia. Czuję cały czas niedosyt wynikający z upływającego czasu i chciałabym więcej i lepiej, ale jest to zespół złożonych przyczyn i skutków, które oddziałują na to, co się dzieje i trzeba się z tym pogodzić, bo nie mamy wpływu na każdy element naszego funkcjonowania i zarządzania miastem. Z drugiej strony – staramy się, według naszych umiejętności i wiedzy robić to jak najlepiej. Takie jest życie...

Z jednym łodzianie zgodzą się na pewno – Łódź za kadencji Hanny Zdanowskiej się zmieniła. Czy jest coś, co spowalnia te zmiany?

Spowalnia brak środków finansowych w budżecie miasta. To jest to, co nas bardzo ogranicza w tej chwili i nad czym bardzo, bardzo boleję. Bo faktycznie, z chwilą, gdy po raz kolejny czuję, że jest ta moc twórcza to... najpierw była pandemia, później wybuchła wojna w Ukrainie, w tej chwili mamy szalejącą nadal inflację... i jak już rozpędzamy tę naszą Łódź mocno wiosłując, pojawia się przeszkoda, która nie jest od nas zależna. A na to wszystko jeszcze nałożyły się wszystkie decyzje związane z finansowaniem samorządów i ubytek w tych finansach jest bardzo widoc-

zny. Nie chcę czuć się bezsilna, ale powiem tak: nie napawa mnie to optymizmem.

Spotyka się Pani Prezydent z ludźmi na świecie. O co pytają?

Jak wam się udało? Jak potrafiłście to zrobić? Kiedy spotykam kogoś, kto zna Łódź, to pierwsze (a nic nie jest tajemnicą, każdy ma telefon przy sobie, komputer, może śledzić na portalach społecznościowych, na stronach internetowych, oglądać, podglądać miasto i bez mała na żywo widzieć, co się dzieje) jest pytanie, jak wam się udało w tak krótkim czasie tak wiele zrobić? Bo ci, którzy obserwują nas z zewnątrz, widzą zmiany. Nie są malkontentami i naprawdę doceniają, bo wiedzą, jak łatwo jest krytykować, a jak trudno zrobić coś samemu. To są bardzo pozytywne emocje, które temu towarzyszą, bo zazwyczaj to jest: Wow!!! Udało wam się. Było ciężko, ale teraz widać olbrzymi postęp. Z drugiej strony – ci, którzy nas nie znali, są coraz bardziej nęceni (w cudzysłowie i dosłownie) żeby tu przyjechać i zobaczyć. Bo te przekazy, które pojawiają się co jakiś czas w prasie i w mediach międzynarodowych są bardzo pozytywne dla miasta. Pokazują bardzo fajne, nowoczesne, rozwijające się miasto, które ma aspiracje. Ma, oczywiście, swoje jaśniejsze i ciemniejsze strony, jak każde miasto na świecie. Ale to jest przede wszystkim miasto, które walczy, które pokazało, że zależy mu na czymś. Miasto, to ludzie, i to jest wspaniała decyzja mieszkańców, że jednak podjęli

Prezydent nie zmieni sam miasta, jeśli nie ma za sobą społeczeństwa, i jeżeli wspólnie tych działań nie zaplanuje i nie będzie realizował.

Co jakiś czas gdzieś po drodze spotykam osoby, które związały się z Łodzią nie z urodzenia i nie z wyboru niezależnego od nich znalazły się w naszym mieście, tylko z własnego wyboru, czyli wtedy, kiedy mogły już decydować o sobie, zdecydowały się na przeniesienie do Łodzi i zamieszkanie tutaj. I myślę, że to są niesamowite, fantastyczne wybory.

ten gigantyczny wysiłek. Przecież to dzięki ich podatkom, zaangażowaniu możemy wspólnie zmieniać miasto. Prezydent nie zmieni sam miasta, jeśli nie ma za sobą społeczeństwa, i jeżeli wspólnie tych działań nie zaplanuje i nie będzie realizował. Jeśli mieszkańcy naszego miasta decydują się, żeby żyć w trudnych warunkach, bo ostatnie lata to są trudne warunki z powodu wielu inwestycji, wielu rozkopanych i nieprzejezdnych dróg, a w związku z tym kulejącej komunikacji, która często utyka w tych korkach czy remontach – to jednak chcą tej zmiany. Najważniejsze, że widać to przyzwolenie i chęć do tego, by dać szansę miastu, czyli nam – wszystkim Łodzianom.

Prezydent razem z mieszkańcami będzie świętował 600-lecie. I będą medale na 600-lecie.

Co Pani Prezydent czuje przed rozdawaniem tych medali?

Wow... Przede wszystkim czuję wielką odpowiedzialność, bo taka rocznica zdarza się urzędującemu prezydentowi – co niestety. Nie każdemu... Okrągła rocznica to jest jak szansa w TOTOLOTKA. Albo się w tym czasie zarządza miastem, albo nie. W związku z czym – jest to odpowiedzialność. Na pewno. Do annałów historii przejdą obchody tej rocznicy. Swoją drogą, to piękny wiek – 600 lat. To już jest coś, o czym można mówić...



PAŁAC JULIUSZA HEINZLA. SIEDZIBA URZĘDU MIASTA ŁODZI
FOT. ZE ZBIORÓW UMŁ

Dostojeństwo...

No tak... Ale przede wszystkim historia. Historia, która za tym stoi i odpowiedzialność, żeby czegoś nie przeoczyć, żeby komuś nie uchybić w jego godności, w jego zasługach. W docenieniu jego zaangażowania. O tym zadecydują nasi współmieszkańcy i kapituła, która właśnie z naszych mieszkańców się składa. To jest duże wyzwanie i logistyczne i polegające na takiej właśnie odpowiedzialności, żeby ci, którzy powinni to zaszczytne wyróżnienie otrzymać, faktycznie je otrzymali.

Jak Pani Prezydent nazwałaby Łódź w dwóch słowach?

Moja mała ojczyzna. To trzy słowa. I myślę, że większość Łodzian tak powie. Bo jednak przywiązujemy się do swoich małych ojczyzn. Ja się bardzo cieszę, bo ostatnio mam taką możliwość, że co jakiś czas gdzieś po drodze

spotykam osoby, które związały się z Łodzią nie z urodzenia i nie z wyboru niezależnego od nich znalazły się w naszym mieście, tylko z własnego wyboru, czyli wtedy, kiedy mogły już decydować o sobie, zdecydowały się na przeniesienie do Łodzi i zamieszkanie tutaj. I myślę, że to są niesamowite, fantastyczne wybory. Dla mnie właśnie to jest ta mała ojczyzna, którą sami wybieramy. I fajnie, że coraz więcej jest wśród nas tych, którzy chcą tego świadomego wyboru dokonać. Bo jeżeli spojrzymy na statystyki, to saldo imigracyjne Łódź ma wreszcie znowu dodatnie. Wiemy, że demografia nam nie sprzyja, ale nie sprzyja, niestety, większości populacji w Polsce. W całej Polsce a nawet w Europie. Natomiast to, co jest fantastyczne to to, że my jesteśmy coraz bardziej dumni z naszej Łodzi.

Wywiad przeprowadzono w siedzibie Urzędu Miasta Łodzi.

Wersja filmowa wywiadu:



STĄD JESTEM, TU SIĘ WYCHOWAŁEM...

Wywiad z Profesorem Maciejem Dunajskim

PROFESOR FIZYKI TEORETYCZNEJ I MATEMATYKI STOSOWANEJ.
OBECNIE PROWADZI PRACE BADAWCZE NA UNIWERSYTECIE
CAMBRIDGE I FELLOW CLARE COLLEGE W CAMBRIDGE.
PRACUJE NAD ZAGADNIENIAMI TEORII TWISTORÓW, SYSTEMÓW
CAŁKOWALNYCH, SOLITONÓW I GEOMETRII RÓŻNICZKOWEJ.
ŁÓDZIANIN.

Rozmawia – Dorota Ceran



MACIEJ DUNAJSKI
FOT. ANDRZEJ JANECKI

Dorota Ceran: Panie Profesorze, jest Pan łodzianinem i z radością witamy Pana w naszej Galerii Wybitnych Łodzian. Łódź jest z Pana dumna. A jakie dla Pana ma znaczenie fakt, że jest stąd?

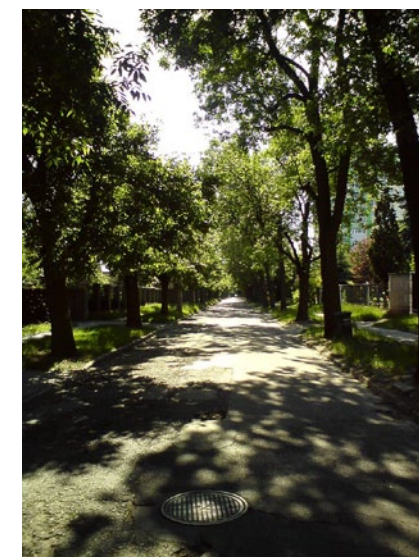
Prof. Maciej Dunajski: Spędziłem mniej niż pół życia w Łodzi. Urodziłem się w roku 1971 a z Polski wyjechałem na stałe w 1995, ale do Łodzi wracam pięć, czasami nawet dziesięć razy w roku. Chodziłem tutaj do szkoły podstawowej, do liceum, na studia. Moi najbliżsi przyjaciele, koledzy są cały czas w Łodzi. Więc zdecydowanie – czuję się łodzianinem.

Które rejony miasta są Panu najbliższe, związane z Pana dzieciństwem?

Jestem z Radiostacji¹. W tamtych czasach, 40 lat temu była rywalizacja między Widzewem i ŁKS-em. Ja byłem zdecydowanie w rejonie Widzewa.

Ta rejonizacja i ta rywalizacja wciąż obowiązują...

Nie wiem, czy mam się cieszyć... No, ale dobrze, że tak jest. W Łodzi też chodziłem do szkół. I do podstawówki, i do Liceum nr 1². Sterlinga, Więckowskiego – to są też moje rejony.



OSIEDLE RADIOSTACJA,
ULICA ZELWEROWICZA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

1. Radiostacja – łódzkie osiedle w dzielnicy Śródmieście. Nazwa związana jest z istniejącą tu stacją Radia Łódź.
2. I LO im. Mikołaja Kopernika w Łodzi, tzw. „Koper”, „Jedynka”.

Czy dzisiaj też wraca Pan do tych miejsc? Odwiedza Pan „Kopra”?

Liceum odwiedzam dosyć często. Działa tam prężne Stowarzyszenie Absolwentów i czasami proszą mnie, żebym coś dla nich opowiedział, coś zrobił. To są moi przyjaciele – byli uczniowie „Jedynki”. Tak to jest, może szczególnie na emigracji, że człowiek wraca do korzeni. Przyjaźnię się nawet z tymi, których poznałem nie tylko w szkole, ale także w przedszkolu, na Małachowskiego. W „Jedynce” – podstawówce³ – przyznam, że nie byłem. Ale wiem, że istnieje, bo czasami koło niej przejeżdżam.

Panie Profesorze, ukończył Pan Politechnikę Łódzką. Jak wspomina Pan ten czas, tę uczelnię?

Ukończyłem wydział, który wówczas nazywał się FTIMS⁴. Nie wiem, czy on cały czas istnieje (FTIMS jest nadal jednym z wydziałów Politechniki Łódzkiej – przyp. red.). Wspominam bardzo dobrze. Dla mnie to był czas przełomowy. Bo jak wiele osób mojej generacji, w liceum jeszcze nie bardzo wiedziałem, co dalej robić. Byłem lepszy z matematyki i fizyki niż z innych przedmiotów... albo może lepiej powiedzieć, że byłem – mniej gorszy. Bo moje szkolne czasy nie były naukowo najszcześniejsze.

3. Szkoła Podstawowa nr 1 w Łodzi, przy ulicy Sterlinga.

4. Wydział Fizyki Technicznej, Informatyki i Matematyki Stosowanej.



DOMY ŁÓDZKIEGO GETTA
I GROBOWIEC IZRAELA
POZNAŃSKIEGO NA CMENTARZU
ŻYDOWSKIM W ŁODZI
FOT. DOROTA CERAN

Nie był Pan wzorowym uczniem?

Zdecydowanie nie. Poszedłem na fizykę, ponieważ wtedy (to były lata dziewięćdziesiąte) i mówiło się w Polsce i na świecie, że fizyka medyczna to może być przyszłość. Ale to mi też nie szło za dobrze. I dopiero na drugim roku studiów zacząłem chodzić na wykłady do profesora Przanowskiego⁵. To światowej klasy specjalista od teorii względności. I to pamiętam, jak dzisiaj, chociaż to było trzydzieści lat temu... Po pierwszych dwóch wykładach u profesora uznałem, że to jest coś, co ja chcę robić w życiu. I po raz pierwszy zacząłem się uczyć. To była nowa rzecz, i też nie od razu przyszło mi to szybko i łatwo, ale dałem sobie radę. Miałem więcej szczęścia, niż inni i skończyłem tam, gdzie skończyłem. Ale zaczęło się na politechnice, na drugim roku studiów.

To wiele mówi o tym, jak ważni w naszym życiu są mistrzowie.

Zdecydowanie tak. Tak też było w liceum. Mieliśmy doskonałych pedagogów, nauczycieli. Ale to już była moja wina, że ja mimo tych możliwości, które były mi dane – miałem inne rzeczy w głowie. Jeździłem na nartach, chodziłem na imprezy, chodziłem w góry... Miałem jakiś tam kontakt z olimpiadami przedmiotowymi, ale w porównaniu z tym, co moi, wybitniejsi koledzy osiągnęli – ja nie osiągałem specjalnie nic. Grałem w karty! I to mnie wyciągnęło z kłopotów. Bo grałem w brydża. I byłem raz wicemistrzem, raz mistrzem Polski. I być może było tak, że dzięki temu brydżowi dyrektor szkoły, profesor Wolniewicz⁶ zdecydował się dopuścić mnie do matury i utrzymać w klasie maturalnej.

Panie Profesorze, jest Pan związany także z drugą wielką łódzką uczelnią – z Uniwersytetem Łódzkim. Tam uzyskał Pan habilitację i doszedł do tytułu profesora.

Ten kontakt zaczął się tak, że na politechnice przyznano mi indywidualny tok studiów od trzeciego roku i ja to wykorzystałem na zajęcia i konsultacje z profesorami z uniwersytetu. Uniwersytet Łódzki ma wybitnych profesorów. I ten kontakt pozostał. Więc jak wyjechałem pierwszy raz do Anglii robić doktorat, to miałem u nich jakiś etat i cały czas miałem na uniwer-

5 Prof. Maciej Przanowski.

6 Marian Wolniewicz, dyrektor I LO w latach 1966–1991.

sytecie kolegów i byłych nauczycieli. I oni zachęcili mnie do zrobienia habilitacji i uzyskania belwe-derskiej profesury przez uniwersytet. Więc ja im wyjątkowo dużo zawdzięczam.

Ale ostatecznie wybrał Pan Uniwersytet w Cambridge. Skąd ten wybór?

Tak się życie ułożyło. Kiedy zacząłem doktorat w Oksfordzie w połowie lat dziewięćdziesiątych, udało mi się zrobić kolejny krok na naukowej drodze, to były to czasy, kiedy w Anglii żyło się lepiej, niż w Polsce. Dzisiaj, moim zdaniem, nie-koniecznik tak jest. I po kilku latach w Oks-fordzie, Stephen Hawking (jeszcze żył i był profesorem i miał katedrę Lucasa w Cambridge⁷) zaproponowano mi przejście do jego grupy, do Cam-bridge. I się zdecydowałem. I tam jestem rzeczywiście od ponad dwudziestu lat.

Panie Profesorze, ogólna te-oria względności, matematycz-na teoria czarnych dziur – to te-maty, które rozumie naprawdę mały odsetek ludzkości. Ja – nie ro-zumiem w ogóle. To są bardzo wąskie dziedziny...

W każdej dziedzinie jest tak, że na odpowiednim poziomie specjalizacji dziedzina staje się wąska. Wydaje mi się, że w przeciwieństwie do czystej matematyki, a nią też się interesuję, fizyka teoretyczna, czarne dziury, problem horyzontów czarnych dziur, promieniowania Hawkinga – to pobudza

⁷ Lucasian Chair of Mathematics.

wyobraźnię. Ludzie, oczywiście, może niewiele o tym wiedzą, ale chcieliby się dowiedzieć, czytają książki popularnonaukowe... ale to jest prawda, że żeby wejść w ten przedmiot naprawdę naukowo a nie z perspektywy popularnej prasy, to jest to specjalistyczny kawałek matematyki.

Wspomniał Pan o swojej współpracy ze Ste-phenem Hawkingiem. Media bardzo często do tego wątku wracają, ale tak sobie myślę, że nie rozmawiali Panowie tylko o nauce, o teorii czar-nych dziur... Czy on interesował się krajem, z którego Pan pochodzi, może miastem...? Roz-mawiali panowie o Łodzi?

Na wszystkie pytania odpowiem – nie. Stephen w czasie, kiedy ja byłem już w Cambridge, z nikim nie współpracował. Miałem za-szczyt i przyjemność wiele razy z nim rozmawiać o fizyce, ale nigdy na napisaliśmy razem pracy naukowej. Ja miałem przyjemność współpracować i nadal to robię, z innym wybit-nym brytyjskim uczonym – Roge-rem Penrose⁸, noblistą sprzed dwóch lat. Nie pamiętam, żebyśmy poruszyli wątek polski czy łódzki. Nato-miast z moją żoną rozmawiał kilka razy o pol-skim jedzeniu, które on lubił. Interesował się kuchnią nieangielską, niebrytyjską, był otwartym na wrażenia człowiekiem. Ale o Łodzi z nim nie rozmawiałem.

⁸ Sir Roger Penrose – brytyjski naukowiec: fizyk teoretyk, matematyk, filozof nauki i jej popularyza-tor, noblista.

W każdej dziedzinie jest tak, że na odpowiednim poziomie specjalizacji dziedzina staje się wąska. Wydaje mi się, że w przeciwieństwie do czystej matematyki, a nią też się interesuję, fizyka teoretyczna, czarne dziury, problem horyzontów czarnych dziur, promieniowania Hawkinga – to pobudza wyobraźnię.

A jakie polskie potrawy go zainteresowały?

Żurek, barszcz...

Panie Profesorze, myślę, że jednak z różnymi ludźmi, których spotyka Pan na swojej drodze, rozmawia Pan o Polsce...

Oczywiście, że tak! O Łodzi też.

A co, zdaniem Pana, warto ludziom o Łodzi opowiedzieć? Co ich interesuje?

Myślę, że należy kultywować akademickie tradycje Łodzi. Mamy z mojej dziedziny i pewnie z innych też – wielu profesorów, ekspertów na światowym poziomie.

Ludzie w Cambridge są na tyle nietypowi, że ich interesuje prawie wszystko. To są ludzie otwarci na wiedzę. Cóż, jak się przyjeżdża do Polski, to się przede wszystkim jedzie do Krakowa, Gdańska, Warszawy... mało kto, niestety, wybiera Łódź jako miasto, do którego przyjedzie i tam spędzi kilka dni.

Coraz częściej odwiedzają nas turyści...

Bardzo dobrze! Natomiast ludzie, których ja znam, są zainteresowani, a często – więcej niż zainteresowani, filmem. A Łódź istnieje na mapie Polski i świata dzięki swojej Filmówce⁹. O tym często rozmawiam. Interesują się także gettem żydowskim, żydowskim cmentarzem, historią międzywojenną, fabrykami... O tym ludzie wiedzą i chcieliby się dowiedzieć więcej.

Ale gdybym miał jednym zdaniem odpowiedzieć na pani pytanie, to łódzka Filmówka jest paszportem dla Łodzi, dlatego, że można ją skojarzyć z nazwiskami, które nasi znajomi znają.

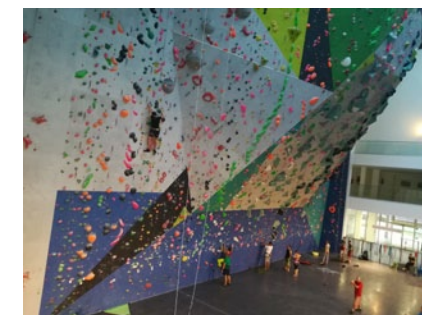
⁹ Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. Leona Schillera.

Wspomniał Pan Profesor, że dość często przyjeżdża do Polski, do Łodzi. Zresztą, ma tu Pan także swoje życie prywatne i bliskie osoby. Widzi Pan, jak ta Łódź się zmienia. Jak Pan te zmiany ocenia?

W przeciwieństwie do moich przyjaciół, którzy tu mieszkają i widzą dużo więcej, niż ja powiedziałbym, że zmieniała się na lepsze. Może zawsze tak to wygląda, kiedy człowiek przyjeżdża z emigracji... Piotrkowska błyszczy, ludzie się uśmiechają. Część Łodzi jest teraz rozkopana, więc ciężko jest czasami przejechać z miejsca na miejsce. Mnie się podoba instytucja rowerów miejskich, które używam. Nie wszędzie są – w Wielkiej Brytanii znikają. Więc doskonale, że tutaj miasto te rowery promuje.

Czy ma Pan swoje ulubione miejsce, poza Filmówką, oczywiście?

Lubię swoją dzielnicę, Radiostację. Bo tam, kiedy jestem w Łodzi mieszkam u mamy. Lubię park 3 Maja. Lubię Piotrkowską. Zawsze, jak jestem w Łodzi odwiedzam miejsce, które nazywa się Zatoka Sportu. To jest na politechnice. Ja się wspinam, i w górach i w skałach. Oni tam mają doskonałą ściankę wspinaczkową, która bije na głowę - podejrzewam, że większość polskich i europejskich ścianek. To miejsce lubię bardzo.



ZATOKA SPORTU
FOT. DOROTA CERAN

Panie Profesorze, jesteśmy u progu rocznicy 600-lecia Łodzi. To, jak mówię, jest bardzo ważna rocznica, ponieważ zdarza się raz na 600 lat. Czy Pan Profesor, jako łodzianin, ma przy tej okazji jakieś życzenia dla miasta?

Zaskoczyła mnie pani tym 600-leciem. Ja, historyczny nieuk, jako łodzianin zgadłbym, że Łódź może ma ze 100, 150 lat... Nie no – 200 lat. O Łodzi mówiło się zawsze jako o nowym mieście. 600 lat mają miasta ze starymi budynkami, kościołami... Więc cieszę się bardzo, że mamy aż 600 lat. Poczytam o tym więcej.

Życzę Łodzi wszystkiego najlepszego... Kiedyś byliśmy historycznie drugim największym miastem po Warszawie. Rozumiem, że teraz zeszliśmy z podium trochę niżej, ale nie sądzę, żeby to było takie ważne. Mamy kilka doskonałych, znanych na świecie uczelni. Jest Filmówka, jest ASP¹⁰, gdzie moja mama była kiedyś profesorem. To miejsce jest też mi bliskie. Myślę, że należy kultywować akademickie tradycje Łodzi. Mamy z mojej dziedziny i pewnie z innych też – wielu profesorów, ekspertów na światowym poziomie.

Na koniec, Panie Profesorze, gdyby miał Pan Łódź nazwać jednym, dwoma zdaniami, to jak one by brzmiały?

W zdaniu musi być czasownik, to nie wiem, jak to ująć... Powiem tak – Łódź to jest moje miasto, stąd jestem, tu się wychowałem...

*Wywiad przeprowadzono we wnętrzach Fabryki Aktywności Miejskiej
Urzędu Miasta Łodzi.*

Wersja filmowa wywiadu:



¹⁰ Akademia Sztuk Pięknych.

ŁÓDŹ JEST PRAWIE NIE DO POZNANIA

Wywiad z Profesorem Piotrem Kasprzakiem

JEDEN Z NAJWYBITNIEJSZYCH EUROPEJSKICH CHIRURGÓW
NACZYNIOWYCH PRACUJĄCY W KLINICE UNIwersYTETU
W RATYZBONIE,
DOKTOR HONORIS CAUSA UNIwersYTETÓW WARSZAWSKIEGO
I POZNAŃSKIEGO.
ŁODZIANIN.

Rozmawia – Mariusz Goss



PROF. PIOTR KASPRZAK, MARIUSZ GOSS
FOT. DOROTA CERAN

Piotr Kasprzak: W czasach PRL-u było to bardzo niespokojne miasto, biedne miasto, w którym nie było takich wydarzeń, jakie można było przeżywać w Warszawie, w Krakowie, we Wrocławiu i w innych miastach. Było sporo nudy w tym naszym codziennym życiu. Oczywiście, sytuacja polityczna była bardzo napięta i to było to, co wprowadziło elementy niepokoju, pytania, co się zmieni, jaka będzie przyszłość. Wszystkie te pytania pozostały w pierwszym momencie bez odpowiedzi.

Mariusz Goss: Ale rozrywki było dużo... Wyszedł Pan z domu, doszedł Pan do autobusu... wiadomo – przyjedzie albo nie przyjedzie. Jak przyjechał – już była radość. Potem trzeba było się wepchnąć do tego autobusu, prawda? Więc życie codzienne dostarczało nam niespodziewanych rozrywek – na przykład dwadzieścia minut w oczekiwaniu na bochenek chleba albo kostkę masła.

To było być może w tamtym czasie problemem, z jakim spotykali się moi rodzice i dziadkowie. Ja wtedy byłem na wikcie szpitalnym, ponieważ miałem dużo dyżurów. Śniadań z reguły nie jadłem, tylko piłem jakąś kawę czy herbatę... Zatem zaopatrzenie nie było wtedy moim problemem.

Jeżeli chodzi o piękne strony tamtych czasów, to są one związane przede wszystkim z ludźmi, z moimi przyjaciółmi. Czy to zaczniemy od czasów szkolnych, czy poprzez czas studiów. To są przyjaźnie i związki, które przetrwały do dziś. My nadal spotykamy się w grupie, która w Liceum im. Tadeusza Kościuszki (III LO im. Tadeusza Kościuszki w Łodzi - przyp. red.) spędziła cztery lata razem, do chwili uzyskania matury.

Kogo chciałby Pan wspomnieć?

Pierwszy mój przyjaciel nie uczył się w naszej szkole, lecz w szkole przy Nowotki (dzisiaj Pomorska - przyp. red.) w okolicach Wierzbowej. Nie pamiętam, jaka była numeracja tego liceum (VIII LO - przyp. red.). Z nim spotkałem się po raz pierwszy na obozie szkolnym nad morzem...

...polskim?

Oczywiście, nad Bałtykiem, gdzie woda była bardzo zimna, ale pogoda piękna i wszyscy, którzy tam przyjechali, mieli ogromną radość, że można

się było spotkać i coś razem zrobić. To były bardzo często imprezy, które nie kosztowały prawie żadnych pieniędzy, ale gdzie radość z tego, co można było wspólnie przeżyć, dawała nam ogromną satysfakcję.

A radości dnia codziennego w Łodzi?

Przez cały czas szkoły w zasadzie więcej uprawiałem sportu niż się uczyłem. Od początku szkoły podstawowej – najpierw to była „trójka”, później SP 173 gdzie był basen – codziennie pływałem, zapisałem się do Klubu Sportowego „Trójka”.

Przez cały czas szkoły w zasadzie więcej uprawiałem sportu niż się uczyłem. Od początku szkoły podstawowej – najpierw to była „Trójka”, później SP 173 gdzie był basen – codziennie pływałem, zapisałem się do Klubu Sportowego „Trójka”. Każdego ranka spotykaliśmy się po szóstej, nawet wtedy, kiedy było bardzo zimno i padał śnieg. Najpierw były biegi w parku Sienkiewicza. Klub sportowy dawał nam talony, żeby pójść na Piotrkowską do baru mlecznego. Po ćwiczeniach mieliśmy więc okazję, by wypić mleko i zjeść bułkę z serem. To były takie sytuacje, których się nie zapomina – ten wysiłek połączony z przyjemnością, a to wszystko z kolegami, których już dzisiaj mniej spotykam. Nie wiem, czy należy podawać nazwiska...

Oczywiście.

Marek Synder – profesor ortopedii, Krzysiu Bednarek, który doskonale pływał stylem motylkowym a potem grał też w piłkę wodną... Ja pływałem stylem klasycznym. Nie byłem w mieście najlepszy, ale startowałem w zawodach i zawsze walczyłem o jakieś mniej lub bardziej zaszczytne miejsce.

Panie Profesorze, kiedy wpadł Pan na pomysł, że zostanie lekarzem?

Bardzo późno. Dopiero gdzieś w dziesiątej, jedenastej klasie (w moim czasie mieliśmy jedenaście klas gimnazjalnych). I w zasadzie najpierw chciałem pójść na handel zagraniczny. Mój wujek był po handlu zagranicznym, reprezentował zakłady przemysłu lekkiego i mógł bardzo dużo wyjeżdżać podpisując kontrakty, sprzedając produkty przemysłu lekkiego, który był zasiedlony w Łodzi. I to mnie bardzo pociągało – ta możliwość wyrwania się z wtedy bardzo zamkniętej Polski.

Ale jedna z moich koleżanek, Ola, powiedziała: „Słuchaj, my się wszyscy wybieramy na Akademię Medyczną. Chcemy być lekarzami. Czy to nie byłoby też coś dla ciebie?” Notabene – mam też pewne obciążenia rodzinne, ponieważ oboje moi rodzice byli lekarzami.

To zatem naturalne...

Ale jak pan widzi, to nie zostało postanowione w ósmej czy dziewiątej klasie. Ja się najpierw wcale z tym nie identyfikowałem i chciałem czego innego. Ale może ta presja koleżeństwa, i zaciekawienie... Bo im byłem starszy, tym bardziej miałem możliwość doświadczyć tego, co moi rodzice robili, z jakimi problemami się spotykali, co mówili. I to sprawiło jeszcze dodatkowo, że przyszło to zainteresowanie. I wtedy zdecydowałem się pójść na medycynę.

Był pewien problem, dlatego, że ja poszedłem rok wcześniej do szkoły. A wtedy trzeba było mieć skończone 16 lat, żeby składać papiery na studia medyczne. Całe szczęście, w związku z moją datą urodzenia mogłem je złożyć jeszcze po urodzinach (5 maja), inaczej straciłbym rok.

Który to był rok?

1968.

Rozpoczyna Pan studia na Akademii Medycznej. Jak Pan wybiera swoją dalszą drogę zawodową? Bo wybrał Pan bardzo specjalistyczną dziedzinę.

Ja bym może w ogóle zaczął od tego, że się w ogóle dostałem na studia. Wtedy można było dostać dodatkowe punkty za pochodzenie. Ja takich

nie miałem w związku z rodzicami, którzy byli lekarzami. Zdałem dość dobrze maturę. Stopnie miałem dobre. Nie znakomite, ale dobre. I miałem jeszcze trochę czasu do egzaminów wstępnych, które były na początku lipca. No i najprawdopodobniej nie dostałbym się na studia, gdyby ta wspomniana już koleżanka nie zadzwoniła pewnego dnia do mojej mamy i nie powiedziała: „Pani doktor, my chcemy wszyscy pójść na medycynę. A Piotr spędza całe dni na basenie Anilany”.

To był duży, ładny basen.

Tak. Ale konsekwencją był szlaban. Także miałem dużo czasu, żeby siedzieć w domu przy oknie i się uczyć i tylko dzięki temu telefonowi zdałem na tyle dobrze egzamin wstępny, że zostałem przyjęty na studia medyczne.

Natomiast na studiach odgrywało pewną rolę obarczenie tym, co robili moi rodzice.

Co robili Pańscy rodzice?

Ojciec był chirurgiem. Zajmował się chirurgią serca. A później, po dość ciężkiej chorobie był ordynatorem chirurgii klatki piersiowej. Moja mama zajmowała się leczeniem niechirurgicznym chorób naczyń obwodowych w poradni przy ulicy Armii Ludowej¹, którą w pewnym sensie stworzyła na tyle, że było tam nawet możliwe przyjmowanie w ciągu dnia chorych, by im podawać kroplówki. Czyli był przy tym anestezjolog, była pielęgniarka, by w przypadku jakiejś reakcji można było natychmiast podjąć akcję pomocy. I ta tematyka przewijała się w moim życiu, zafascynowany byłem chirurgią serca i dlatego od początku poszedłem jako student do Studenckiego Koła Naukowego. Do dwóch kół naukowych – przy klinice kardiologicznej profesora Molla² i w kole anestezjologicznym. Wtedy kierownikiem anestezjologii był pan profesor Stenk. Pan profesor mnie przekonywał, że powinienem rzucić tę chirurgię, bo to bardzo mozolna droga. A pójście na anestezjologię otwierało duże perspektywy. No ale łatwa droga nigdy nie była moją specjalnością i poszedłem drogą chirurgiczną. I od pierwszego roku pracowałem w kole naukowym będąc także przy zabiegach operacyjnych na oddziale. Już wtedy było to w centrum moich zainteresowań. Obok jeżdżenia na nartach...

¹ Dzisiaj – ulica POW.

² Jan Witold Moll – kardiochirurg, jeden z pionierów kardiologii w Polsce. Pierwszy w Polsce podjął (nieudaną) próbę operacji przeszczepu serca.

A co z pływaniem?

Jak byłem na studiach już nie pływałem, bo wtedy odkryłem jazdę na nartach. Można było tak poprzekładać ćwiczenia, żeby mieć sześć tygodni wolnego po to, żeby je spędzić odpowiednio. Z reguły w Szczyrku. I tylko w ten sposób było możliwe uzyskanie stopnia instruktora jazdy w narciarstwie alpejskim. Przydało mi się to później do zarabiania pieniędzy w Austrii.

Zanim dojedziemy do Austrii, proszę nam opowiedzieć o zwieńczeniu Pana nauki i swojej pierwszej pracy.

Było w zasadzie wiadomo, że będę chciał podjąć specjalizację chirurgiczną. Byłem dwa razy na praktykach studenckich za granicą na oddziałach chirurgii, które też w części wykonywały zabiegi w ramach chirurgii naczyniowej. I w związku z tym podjąłem pracę i zacząłem specjalizować się w chirurgii. Ale chirurgia naczyniowa zawsze była tematem, który był w kręgu moich zainteresowań. A to się pogłębiło w tym momencie... nie wiem, kto z Państwa pamięta czasy, w których można było na wkładkę paszportową pojechać do Jugosławii? Tam, w czasie urlopu, spotkałem pewnych państwa z Austrii, konkretnie z Wiednia, zaprzyjaźniliśmy się z ich synami. Okazało się, że ojciec jest nauczycielem łaciny. I kiedy dowiedział się, że ja interesuję się chirurgią, zwłaszcza chirurgią naczyniową, to zapytał, czy miałbym ochotę, gdy będę przejeżdżał przez Wiedeń, poznać profesora Denka. Pytam: „Skąd znasz profesora Denka?” On mi na to: „Jego córka jest taką nogą z łaciny, że muszę jej dawać korepetycje. Znam bardzo dobrze pana profesora.” No i tak miałem możliwość też go poznać. Pierwszego dnia zaprosił mnie (nie mnie wyłącznie, ale i grono innych osób), na kolację do hotelu Hilton w Wiedniu. Miałem takie podejrzenie, że chciał sprawdzić, czy umiem się posługiwać nożem i widelcem. Następnego dnia po tym wieczorze zapytał, czy chciałbym do niego przyjechać na trzy miesiące. On mi dał zaproszenie i mogę mieszkać za darmo w jakimś takim przyszpitalnym budynku, mogę też jeść bezpłatnie na oddziale i mogę w ten sposób sprawdzić, czy chirurgia naczyniowa to jest kierunek dla mnie.

Musiałoby być. To tak, jakby się Pan ze Szczyrku w Alpy na narty przeniósł.

Przez pewien czas pracowałem za zezwoleniem magistratu wiedeńskiego bez wynagrodzenia korzystając z tego bezpłatnego pokoju i jedzenia. Zarabiałem pieniądze jako instruktor narciarski. No bo jednak trochę tych pieniędzy człowiek potrzebuje. Zwłaszcza będąc w Wiedniu.

I będąc młodym.

Tak... Była to taka sytuacja, że ja wyjechałem tam praktycznie na trzy miesiące i zastał mnie w Wiedniu stan wojenny. I w związku z tym z trzech miesięcy zrobiły się dwa lata. I zanim minęły te dwa lata pan profesor Denk, który mi przedłużył pobyt powiedział: „Są tylko dwie możliwości. Na tych zasadach, na których tu jesteś nie możesz dalej pracować. Możesz pójść albo do obozu dla uchodźców i starać się o azyl, albo możesz wrócić do Polski”. Powiedziałem, że skoro mam tylko taką alternatywę, to wracam do Polski. Wróciłem i rozpocząłem pracę stosując metody leczenia, których się nauczyłem w ciągu tych dwóch lat. Zacząłem pracę w poradni przy ulicy Armii Ludowej.

Dzisiaj to ulica POW (Polskiej Organizacji Wojskowej - przyp. red.).

Tak – POW... Jeśli chodzi o nowoczesne zabiegi, to były to pierwsze lata tzw. technik wewnątrznaczyniowych. Czyli bez dużych ran, bez otwartych operacji, tylko wejścia przez nakłucie tętnicy i poszerzanie zwężonego miejsca. Ośrodek wiedeński był jednym z pionierów i ja miałem możliwość, dzięki kontaktom moich rodziców, robić to u profesora Zajgnera z Wojskowej Akademii Medycznej przy ulicy Żeromskiego. Miałem tam możliwość, aby te poszerzania u chorych przeprowadzać. W Polsce były też takie ośrodki, np. warszawskie, ale nasz ośrodek był na pewno pionierski.

Ale mimo wszystko zdecydował się Pan na wyjazd.

Trudny temat...

Dokuczała rzeczywistość?

No dobrze, rozmawiamy po wielu latach... Nie wszyscy byli zadowoleni z mojej działalności.

Przecież Pan ratował zdrowie i życie pacjentów!

Ale przez to, że przyjechałem z Wiednia, byłem kimś z zewnątrz. Nie byłem zasymilowany w wewnętrznych strukturach. I na to patrzono bardzo krytycznie łącznie z tym, że przyjechała do mnie wizytacja Komisji Specjalisty Wojewódzkiego, żeby sprawdzić, co robię. Wizytowali chorych, czytali książki operacyjne i w końcu padła konkluzja: „No jak pan tak bardzo chce, to niech pan robi tę chirurgię naczyniową, byle nie za dużo”. Podziękowałem, ale jednocześnie wiedziałem, że miałem szczęście, bo ta komisja mogła dojść do innych wniosków. I że może po pewnym czasie przyjedzie druga komisja i już nie będzie tak pozytywnych dla mnie wniosków wysnuwała. I w związku z tym pomyślałem, że warto spróbować szczęścia gdzie indziej. Miałem wówczas kontakt do profesora Reika. On był wówczas w Erlangen, później przeszedł do Norymbergi. I potrzebował koniecznie współpracownika. Miał z profesorem przejść do Norymbergi lekarz, jego były współpracownik z Erlangen, któremu niestety powiedziano, że jeżeli opuści Erlangen i pojedzie do Norymbergi, to z karierą naukową może mieć trudności. Ponieważ uniwersytet był w Erlangen. A Norymberga – to był szpital miejski. I on odmówił. Profesor Reik był szefem, ale nie miał wykształconego współpracownika, bo lekarze, którzy pracowali w Norymberdze byli wprawdzie chirurgami, ale nie byli chirurgami naczyniowymi. A to był nowo stworzony oddział. I to dla mnie była szczęśliwa sytuacja – profesor znając mnie spytał, czy nie chcę przyjechać i u niego pracować. W tamtych czasach to było prawie niemożliwe, by dostać pracę w Niemczech. Były stosy podań o pracę na biurkach szefów. Profesor znając mnie i wiedząc, co ja potrafię, załatwił to, że dostałem tę pracę. Wyjeżdżając złożyłem wypowiedzenie a wcześniej jeszcze wziąłem należny mi urlop. Wyjeżdżałem oficjalnie – na zasadzie zmiany miejsca pracy.

Jak przyjechałem tam swoim starym, białym polonezem, to poszedłem do miasta po to, żeby dostać pozwolenie na pobyt. A tam mi mówią: „Nie możemy panu dać pozwolenia na pobyt, jako że pan nie ma pozwolenia na pracę”. „No to jak ja uzyskam pozwolenie na pracę?” „Jak pan będzie miał pozwolenie na pobyt?” Dla kogoś, kto nie znał klucza, jak taką sytuację rozwiązać, była to sytuacja bez wyjścia. Natomiast klucz był bardzo prosty. Szpital kliniczny wystawił mi dokument, że oni proponują mi miejsce pracy i że ja mam je zapewnione.

I na podstawie tego dokumentu dostałem pozwolenie na pobyt. W zasadzie bardzo proste, ale trzeba było znać drogę w tym labiryncie.

Opinia na temat Polski i Polaków nie była wtedy w Niemczech dobra. To się bardzo zmieniło w ostatnich dziesięcioleciach, szczególnie po tym, jak Polska weszła do Unii Europejskiej i kiedy granice się otworzyły.

Przyjeżdża człowiek z Polski, jest stan wojenny. Pewnie pytali tam Pana, skąd Pan przyjechał. Pan powiedział, że z Łodzi. Co oni wiedzieli o Łodzi? Co musiał im Pan tłumaczyć, żeby powiedzieć, gdzie się Pan wychował i skąd Pan doszedł do tego momentu, że (jak sam Pan powiedział) osiągnął Pan niemożliwe, czyli pracę w Niemczech?

Oooo, poruszył pan bardzo rozległy temat. Należy chyba zacząć nie od tego, co oni chcieli wiedzieć o Łodzi, lecz co chcieli wiedzieć o Polsce, o Polakach. Co chcieli wiedzieć o mnie. Nie wiem, kto z osób, które czytają ten wywiad, zna tamte czasy...

Część zna.

Opinia na temat Polski i Polaków nie była wtedy w Niemczech dobra. To się bardzo zmieniło w ostatnich dziesięcioleciach, szczególnie po tym, jak Polska weszła do Unii Europejskiej i kiedy granice się otworzyły. Wizy, stanie na granicy bardzo zniechęcało w wielu przypadkach, by wyjechać choćby na kilka dni i zobaczyć inny kraj. A przecież po drodze do Polski była Niemiecka Republika Demokratyczna, która nie patrzyła przyjaznym okiem na przejeżdżających w tę, czy w tamtą stronę.

Pamiętam, jak pierwszego dnia przyszedłem do szpitala – idę w kierunku sali operacyjnej, podchodzi do mnie szef anestezjologii. Ja już miałem na sobie czapkę i maskę. Delikatnie zdjął mi tę maskę, zdjął mi tę czapkę i mówi: „Najpierw to chciałem cię zobaczyć.”

Praca nie była problemem i tutaj wracamy do tematu – studia, Akademia Medyczna, nauczyciele akademicki. Później to dodatkowe szkolenie w Wiedniu. Ja się nigdy nie musiałem wstydzić tego, czego się nauczyłem w czasie studiów. Raczej wiedziałem więcej niż moi rówieśnicy w Niemczech dlatego, że oni w czasie studiów w tamtych czasach o wiele mniej zajmowali się pacjentami, o wiele więcej naukami podstawowymi, żeby osiągnąć dyplom. W związku z tym ja miałem pewną przewagę, bo od początku my tutaj w Łodzi pracowaliśmy przy pacjentach.

Następne pytanie – to oczywiście pytanie o Polskę. Z wieloma pozytywnymi i wieloma negatywnymi sytuacjami. Pozytywne to oczywiście historia „Solidarności”, później rola papieża, czy też nasza rola przy połączeniu obu państw niemieckich. Negatywne? To liczba aut, które bez woli właścicieli zmieniały miejsce postoju.

I bez woli i z wolą.

No tak. Nie znam tego dokładnie. Ale kiedy przywiozłem, chyba 6 stycznia w dziewięćdziesiątym trzecim roku (miałem wtedy dzień wolny) mojego ojca po świętach spędzonych w Niemczech moim samochodem do Łodzi, to w ciągu

Nie tylko Łódź się zmienia. Zmieniło się bardzo dużo w Polsce w ciągu ostatnich dwudziestu, trzydziestu lat. Z tej, dla mnie wtedy troszkę zaspanej Łodzi – jeśli chodzi o rytm miasta, nastąpiły zmiany, na które patrzę z podziwem. I te różnice między krajami się zacierają. A właściwie całkiem się zatarły.

pięciu minut, kiedy telefonowałem do mojego przyjaciela, żeby się z nim spotkać, samochód zniknął. Także sam byłem bezpośrednio jeną z ofiar tego zjawiska. A to było w świadomości niemieckiego społeczeństwa.

Ale to się na szczęście wszystko pozmieniało. Nie tylko Łódź się zmienia. Zmieniło się bardzo dużo w Polsce w ciągu ostatnich dwudziestu, trzydziestu lat. Z tej, dla mnie wtedy troszkę zaspanej Łodzi – jeśli chodzi o rytm miasta, nastąpiły zmiany, na które patrzę z podziwem. I te różnice między krajami się zacierają. A właściwie całkiem się zatarły. Są pewne tematy, gdzie to Polska jest bardziej do przodu (na przykład sprawa więzi rodzinnych, opieki, kontaktów pomiędzy dziećmi, wnukami i dziadkami) a w wielu dziedzinach jest porównywalnie. Można porównywać jakość życia – nie zawsze można porównywać zarobki i możliwości – tu są jeszcze różnice, ale te różnice zmniejszają się.

Ale Panie Profesorze, wróćmy jeszcze do pytania, które z pewnością zadawano: „Co Pan robił w Łodzi? Co się w Łodzi zmieniło?” Co Pan im teraz opowiada?

Rozumiem, że to pytanie musiało paść, ale Łódź nie jest na tapecie codziennych rozmów w Niemczech. Bo Warszawa... Kraków... Wrocław... Gdańsk...

Miasta historyczne.

Tak, w związku z ich historią większa jest znajomość tych miast. Natomiast dla mnie jest bardzo ciekawe to, co mówią moi koledzy (bo ja często bywam zawodowo w wielu miastach w Polsce) lekarze, docenci, profesowie pracujący na różnych uczelniach i którzy odwiedzają Łódź. I mówią, że Łódź jest prawie nie do poznania. Że z trochę zaspanego miasta zaczyna być miastem pulsującym, gdzie coraz więcej się dzieje, gdzie zmienia się jego obraz. Pamiętam, jak jechałem dwadzieścia czy piętnaście lat temu przez Łódź samochodem, to miałem wrażenie, że po tym, jak cały ten przemysł lekki upadł, miasto zaczyna umierać. I to się odwróciło, to się zmieniło. Ja tu przyjeżdżam bardzo chętnie i jak nie miałem dotąd planów, żeby całkiem tutaj wrócić, zaczyna mi to być coraz bliższe. Pojawia się myśl, by przynajmniej mieć miejsce, gdzie będę mógł tu spędzić tygodnie i miesiące a nie tylko wizytę dwu- czy trzydniową.

Panie Profesorze, tutaj Pan został wykształcony i tą wiedzą dzieli się Pan z następnym pokoleniem lekarzy.

Ja zajmuję się, jak już wspomniałem, metodami wewnątrznaczyniowymi. One były w centrum moich zainteresowań. I to, co wtedy nie było możliwe, w tej chwili możliwe jest. To jest leczenie dużych zmian chorobowych z minimalnego dostępu. Na przykład przy leczeniu tętniaków. Tętniak jest to choroba naczyń, która powoduje rozszerzenie, przez to osłabienie ściany i prowadzi do jej pęknięcia i może prowadzić do wykrwawienia. Problemem jest, że to z reguły nie boli. Można to wykryć ultrasonografią przy okazji innych badań (prawie każdy lekarz domowy ma ultrasonograf i w obrębie brzucha można to wykryć). Pytanie jest – w jaki sposób można to operować? W końcu ubiegłego wieku, czyli te dwadzieścia kilka lat temu operowano to z dużego cięcia, co u chorego w wieku lat sześćdziesięciu, siedemdziesięciu a czasami nawet osiemdziesięciu może być problemem związanym z powikłaniami. Na zasadzie dużego obarczenia układu krążenia. Także te metody, które zaczęły się rozwijać w latach siedemdziesiątych i rozwijają się cały czas, są w centrum mojego zainteresowania. A to, co jest szczególnie ważne, to możliwość leczenia wielopoziomowych poszerzeń, gdzie trzeba nie tylko wyłączyć poszerzoną aortę z krwioobiegu, ale jeszcze zaopatrzyć ważne, odchodzące od niej tętnice – do wątroby, do jelit, do nerek. Czyli bardziej skomplikowany zabieg wykonywany z jednego cięcia w pachwinie i drugiego cięcia w okolicy pachy. Czyli nie naruszając dużymi cięciami powłok, nie przecinając dużych mięśni.

W jakich szpitalach Łodzi lekarze leczą tymi Pańskimi metodami?

W Łodzi przede wszystkim w szpitalu Kopernika³. To jest związane także z możliwościami NFZ. W Polsce oddziały chirurgii naczyniowej mają dwa poziomy w zależności od tego, czy kwalifikują się do grupy, która ma wyższy standard, wyższe możliwości i może więcej robić. I są te, które mają bardziej podstawowy zakres opieki. I tylko w tych pierwszych oddziałach NFZ zapewnia finansowanie takich zabiegów operacyjnych. W Łodzi to jest właśnie szpital Kopernika. I ma to chyba sens. Dlatego, że proszę pomyśleć – jest pewna liczba zabiegów; jeżeli będą je robić trzy czy cztery szpitale, to każdy z nich będzie ich robił mniej. A wiadomo, że w chirurgii ważna jest

3 Wojewódzki Szpital Specjalistyczny im. M. Kopernika w Łodzi.

powtarzalność zabiegów (a to nie tylko chirurg przeprowadzający zabieg – do sukcesu potrzebna jest współpraca całego zespołu). Jeżeli mamy więcej przeprowadzonych zabiegów, automatycznie jest lepsza standaryzacja i lepsze wyniki. Jeżeli każdy szpital robiłby jeden albo dwa zabiegi rocznie, to zaczynałby zawsze od nowa. A to nie jest to, czego chcieliby leczyć chorzy.

*Wywiad przeprowadzono w Sali Senatu
Uniwersytetu Medycznego w Łodzi*

Wersja filmowa wywiadu:



ŁÓDŹ JEST MOJA

Wywiad z Gołą Tencer

AKTORKA, REŻYSER I PIOSENKARKA ŻYDOWSKIEGO POCHODZENIA,
OD 1969 ROKU ZWIĄZANA Z TEATREM ŻYDOWSKIM IM. ESTER
RACHEL I IDY KAMIŃSKICH W WARSZAWIE,
TAKŻE DZIAŁACZKA KULTURALNA,
POPULARYZATORKA JĘZYKA JIDYSZ,
ZAŁOŻYCIELKA I PREZES FUNDACJI SHALOM,
ORGANIZATORKA FESTIWALU KULTURY ŻYDOWSKIEJ - WARSZAWA
SINGERA.
ŁODZIANKA.

Rozmawia – Dorota Ceran



GOŁDA TENCER
FOT. PATRYK WACŁAWIAK

Dorota Ceran: Urodziła się Pani w Łodzi. Jest Pani łodzianką, jedną z nas. Jakie to ma dla Pani znaczenie?

Gołda Tencer: Łódź jest pięknym miastem. Zawsze mówiliśmy, że my nigdy z Łodzi nie wyjedziemy. Pamiętam, jak chodziliśmy po ulicy Piotrkowskiej – mówię o kolegach z klasy, o koleżankach – mówiliśmy: „Łódź to nasze miasto”. I... ja kocham Łódź. Tę z dawnych lat. Powiedziałam kiedyś, że Łódź widzę szaro-czarną. Nie wiem, dlaczego... Nigdy nie widziałam kolorowej Łodzi. Mam swój szlak – chodzę tam, gdzie mieszkałam i to jest moje miasto.

Jaki to szlak? Jakie to miejsca?

To jest ulica Próchnika 28, gdzie mieszkałam. Tata miał pracownię na Próchnika 12.

Chodziliśmy do szkoły Pereca przy ulicy Więckowskiego¹. To były moje tereny. To były ulice Wschodnia, Zachodnia, Włókiennicza... Dalej nigdzie nie chodziliśmy. I tak ta wspaniała młodość trwała do 1968 roku. Niestety to, co się wówczas stało, tkwi we mnie do tej pory. Ja się obraziłam na Łódź... Dlaczego na Łódź? Na wszystkich powinnam się obrazić, prawda? I wiele lat mi zajęło, żeby z powrotem przyjechać do Łodzi.

Pamiętam pierwszy koncert, który miałam w Łodzi. To było

Teraz do Łodzi przyjeżdżam, odnajduję ślady. Zostały domy... puste domy... już nikt tam z moich przyjaciół nie mieszka.

¹ Budynek znajdujący się przy ul. Więckowskiego 13/15 (róg z ul. Zachodnią) pierwotnie od 1912 r. pełnił funkcję teatru "Scala". Powstał z inicjatywy adwokata Stefana Kobylńskiego i Eugeniusza Gundelacha. Od 1945 roku do marca 1968 roku funkcjonowała w budynku Szkoła Żydowska Icchaka Lejba Pereca, która wcześniej miała siedzibę przy ul. Kilińskiego 49. Na budynku znajduje się pamiątkowa tablica w trzech językach: polskim, angielskim i hebrajskim: "Adres ten jest miejscem na mapie pamięci rozrzuconych po świecie byłych uczniów szkoły".

w ŁDK². Nie byłam w stanie wyjść na scenę. Gdyby nie moja pianistka to w ogóle byłabym nie wyszła.

Który to był rok?

Nie pamiętam... nie mam żadnej pamięci do dat. Ale na pewno minęło dużo lat od 1968 roku. Teraz do Łodzi przyjeżdżam, odnajduję ślady. Zostały domy... puste domy... już nikt tam z moich przyjaciół nie mieszka. Mogę powiedzieć, że kiedy przyjeżdżam do Łodzi to nie mam za bardzo gdzie wejść...

Jak wspomina Pani czasy swojego dzieciństwa, czasy szkolne?

Najpiękniejsze moje lata i lata moich przyjaciół, to oczywiście była szkoła Pereca, do której chodziłam. Przyniosłam, żeby wam pokazać, mój fartuszek szkolny z tamtego okresu. Z pierwszej klasy szkoły podstawowej.

To były cudowne lata... Myśmy byli wszyscy jak jedna, wielka rodzina. Po Holocauście... przeważnie nie mieliśmy babć, dziadków, cioć. Przyjaźnimy się do dnia dzisiejszego, całe życie. A do szkoły chodziliśmy od pierwszej klasy aż do matury. A potem, od 1968 roku zaczęły się wyjazdy. Łódzkie czasy wspominam cudnie. Wspominam TSKŻ³, gdzie chodziliśmy na wszystkie zajęcia. Ja chodziłam na



FARTUSZEK GOŁDY TENCER
Z CZASÓW SZKOŁY PODSTAWOWEJ
FOT. PATRYK WACŁAWIAK

² Łódzki Dom Kultury.

³ Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce.

balet i zajęcia teatralne. I na wszystko, co mogło być... Także moje wspomnienia z Łodzi są fantastyczne.

Mówi Pani „balet”, mówi Pani „teatr”. Czyli to umiłowanie teatru, które jest w Pani sercu i życiu, ma swoje źródło w Łodzi...

Jestem przekonana. Bo kiedy mnie ludzie pytali: „Kim chciałaś być, jak dorośniesz?” to moja odpowiedź: „Aktorką”, brzmi banalnie. Ale ja naprawdę chciałam być aktorką, grałam, śpiewałam od najmłodszych lat. Grałam nawet w języku jidysz na naszej scenie w Łodzi. Tańczyłam w balecie i wiedziałam, że na pewno będę w Teatrze Żydowskim. To było moje marzenie, które się spełniło.

A skąd wzięła się w Pani ta miłość do teatru. Czy to były jakieś rodzinne wzorce?

Nie. W rodzinie rzeczywiście nikt nie zajmował się teatrem, aktorstwem. Ale ja to ukochałam i moi rodzice byli „fanami” mojej początkującej kariery aktorskiej. Pamiętam, kiedy miałam zagrać pierwszą rolę w „Zielonych polach” Pereca Hirszebjna, przyjechałam do Łodzi i mówię „Tato, popracuj ze mną na tekście w jidysz”. Kiedy zobaczył, ile tego jest, powiedział „Gołda, dziecko, przecież ty nie jesteś w stanie się



PRÓCHNIKA 28
FOT. DOMENA PUBLICZNA



WÓLCZAŃSKA 13,
SZKOŁA I.L. PERECA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

tego nauczyć". Nauczyłam się. Ja nie miałam innego wyboru, wiedziałam, że będę aktorką i chciałam nią być.

Miałam też fantastycznych kolegów aktorów. Graliśmy tylko w języku jidysz. Ja miałam to szczęście, że rodzice w domu mówili w jidysz, to ja też mówiłam.

I można powiedzieć, że ta miłość do teatru i to zawodowe, teatralne życie bardzo łączy się z Pani życiem osobistym, prywatnym.

Tak. Teatr to był zawsze mój dom. Tu poznałam mojego męża Szymona Szurmiej⁴ i tu spędziliśmy razem czterdzieści parę lat. Szymon nauczył mnie, jak się śmiać, płakać, nauczył mnie też teatru.

Miałam też fantastycznych kolegów aktorów. Graliśmy tylko w języku jidysz. Ja miałam to szczęście, że rodzice w domu mówili w jidysz, to ja też mówiłam. W szkole mieliśmy dodatkowo język jidysz, ale przeważnie na tych lekcjach mówiliśmy po polsku... Teraz propaguję ten język i muszę powiedzieć, że prawie 20 lat moja fundacja⁵ organizuje warsztaty w Łodzi i naukę języka jidysz, którą prowadzi pani Mittelman. I to jest wkład w moje miasto Łódź.

Czy dużo jest w Łodzi tych, którzy korzystają z tej nauki?

To jest najczęściej grupa około pięćdziesięciu osób. Zwykle tyle osób zaczyna kurs, później ta grupa się naturalnie trochę zmniejsza. Mamy kurs dla początkujących i dla zaawansowanych. Tak...

⁴ Szymon Szurmiej – polski aktor, reżyser i działacz społeczności żydowskiej, dyrektor naczelny i artystyczny Teatru Żydowskiego im. Ester Rachel i Idy Kamińskich w Warszawie.

⁵ Fundacja Shalom organizuje kursy języka jidysz, wykłady, warsztaty, konkursy edukacyjne, spektakle teatralne i telewizyjne, wystawy plastyczne i festiwale, prowadzi również działalność wydawniczą. Od 2004r. Fundacja jest organizatorem Festiwalu Kultury Żydowskiej Warszawa Singera.

chciałam zrobić coś od siebie i uważałam, że to będzie najpiękniejsze. A teraz bardzo bym chciała doprowadzić do skutku taki projekt – byłam kilka lat temu w Łodzi i rozmawiałam o nim z panią prezydent Zdanowską. Chodzi o uhonorowanie, upamiętnienie szkoły żydowskiej. Rozmawialiśmy długo i wiem, że w pałacu Poznańskich mogłoby znaleźć się dla nas miejsce. Chcę w tej sprawie na parę dni do Łodzi pojechać. Chodzi o taką „izbę pamięci”. Nie mam na to innego określenia.

Cała ta szkoła była niesamowita. Podczas festiwalu Singera przyjeżdża spośród moich szkolnych przyjaciół bardzo dużo osób. Bo z jednej naszej szkoły wszyscy rozjechali się po całym świecie, na wszystkie kontynenty. Ja zostałam... i powiem szczerze, że tęsknię za nimi...

Pani została, ale kawał świata Pani zwiedziła. Była Pani stypendystką rządu Stanów Zjednoczonych... Czy miała Pani wówczas okazję porozmawiać o Polsce, rozmawiać o Łodzi?

Rozmawiałam. Ja zawsze mówię o Łodzi. Kocham Łódź... Kiedy otwierałam wystawę „I ciągle widzę ich twarze”⁶ w Bostonie, Eli Wiesel, laureat nagrody Nobla, miał przemówienie i później mówi: „Co to takiego ta Łódź? Ciągłe powtarzanie - Łódź?” Bo w każdym przemówieniu moim i moich kolegów przewijało się słowo „Łódź”. To było ładne... zawsze mówię o Łodzi... Mimo, że z bólem mówię, oczywiście...

Kiedy otwierałam wystawę „I ciągle widzę ich twarze” w Bostonie, Eli Wiesel, laureat nagrody Nobla, miał przemówienie i później mówi: „Co to takiego ta Łódź? Ciągłe powtarzanie - Łódź?” Bo w każdym przemówieniu moim i moich kolegów przewijało się słowo „Łódź”.

⁶ 18 kwietnia 1996 roku wystawa „I ciągle widzę ich twarze...” miała swoją premierę w warszawskiej Zachęcie. Od tego czasu niezwykła ekspozycja przygotowana przez Fundację Shalom podróżuje po świecie (źródło: Fundacja Shalom).

A co jest najbardziej bolesne?

Najbardziej bolesne jest to, że nas tam nie ma.

Co, w Pani ocenie, należy podkreślać, mówiąc o Łodzi ludziom, którzy nie mają pojęcia o naszym mieście?

Ja nie jestem specjalistą. I nie wiem, co na przykład można w Łodzi dzisiaj zobaczyć. Mogę tylko powiedzieć, że jeśli szukają tam swoich korzeni, to powinni po prostu sięgnąć do swojego dzieciństwa. Dla mnie, jak mówiłam, szkoła była najważniejsza.

Nie wiem, czy znałam wówczas wiele ulic na obrzeżach miasta. Na pewno nie. Bo myśmy nigdzie dalej nie wychodzili. Nie mieliśmy telefonów, ale jak robiliśmy prywatkę, to nie minęła godzina, a wszyscy byliśmy. Mój dom był naprawdę bardzo otwarty, wszyscy do nas do domu często przychodzili i moja mama była dla nich bardzo życzliwa. Podobnie tata.

Tata pracował całymi dniami. Myślę, że w ten sposób zabijał swój smutek. Bo w czasie wojny zginęła jego pierwsza żona i córka. Przetrwiał tylko wywieziony z Oświęcimia do Mauthausen jego jedyny brat. A to się odbiło też później w moim pokoleniu. Nasi rodzice nie chcieli mówić o Holocauście. Mama była w czasie wojny w Rosji (rodzice są powojennym małżeństwem)... Teraz oczywiście żałujemy, że nie zadawaliśmy pytań. Trochę pytaliśmy, ale tata nie chciał mówić...

...to tematy zbyt bolesne...

Tak...

Od lat mieszka Pani w Warszawie. Ale Łódź Pani odwiedza. W jakich okolicznościach najczęściej? Gdzie Pani w Łodzi bywa?

Najczęściej bywam w Teatrze Nowym u dyrektor Doroty Ignatiew. Tam był kiedyś Teatr Żydowski. Był taki placyk przylegający do teatru⁷ i tam zapaliliśmy pierwsze papierosy. Tam czasami jeżdżę na jakąś premierę, do Doroty.

Często udzielam wywiadów. Książka, która o mnie powstała jest właśnie

⁷ Placyk przed teatrem jest zachowany.

wynikiem takiego wywiadu z „Vivą”. I zapytano mnie: „Gdzie chcesz jechać?” Mogłam sobie wybrać Amerykę, Izrael... chodziło o to, by pokazać najciekawsze miejsca w moim życiu. I ja powiedziałam: „Do Łodzi.” Oni na to: „To jest niebywałe! Możesz sobie wybrać Amerykę. My dajemy hotel, wszystko...” „No tak, ale ja tam nie będę miała o czym mówić.” I pojechaliśmy do Łodzi. No i ten wywiad chyba był dobry, bo z niego później, po latach, powstała książka.

Wspomina Pani Łódź z czasów, kiedy chodziła Pani do szkoły. Na początku naszej rozmowy wspomniała Pani też ulicę Włókienniczą. Widziała Pani, jak ta ulica się zmieniała?

Nie. Ale słyszałam. Na Włókienniczej mieszkała nasza koleżanka i myśmy wszyscy kręcili tam film „Samson”⁸. Oczywiście, myśmy statystowali. Moja mama ubrała mnie ładnie, w czerwoną bekieszę – tu takie dopasowane, na dole rozszerzone... taki kozuch. I ciągle mnie odsyłali dalej, dalej. Myślę sobie: „Dlaczego mnie tak odsyłają?” No, do getta to ja nie pasowałam w tym stroju. Tam, na Włókienniczej to kręcili...

Mam sentyment. Ulicę Zieloną pamiętam dobrze... Bo to są ulice, na których mieszkali nasi koledzy. A myśmy się zawsze spotykali. Na Próchnika co drugi dom był zamieszkały przez moich kolegów ze szkoły Pereca.

Mam sentyment. Ulicę Zieloną pamiętam dobrze... Bo to są ulice, na których mieszkali nasi koledzy. A myśmy się zawsze spotykali. Na Próchnika co drugi dom był zamieszkały przez moich kolegów ze szkoły Pereca.

⁸ „Samson” – film fabularny z 1961 roku w reżyserii Andrzeja Wajdy na podstawie powieści Kazimierza Brandysa pod tym samym tytułem.

Jakie wydarzenie związane z Łodzią mogłaby Pani uznać za najmiłsze?

Mój ty Boże! Gdybym miała mówić o dzieciństwie, to byłoby tego dużo. Później tata mój odszedł. Kiedy chorował, po spektaklu codziennie jechałam do Łodzi do szpitala. Wtedy nie było tylu światła i tylu samochodów... Tę trasę mogłam przejechać w godzinę i piętnaście minut. W ogóle się nie zatrzymywałam...

Jaki miły moment? Nie wiem... Ale najpiękniejszy okres mojego życia to szkoła i dzieciństwo. To nie ulega żadnej wątpliwości. Najpiękniejsze lata, jakie spędziłam, spędziłam w Łodzi. I ja tęsknię za Łodzią.

To zawsze najserdeczniej zapraszamy do naszej Łodzi. Do naszej wspólnej Łodzi. Poza tym, że bardzo zmieniła się ulica Włókiennicza, w ogóle Łódź przechodzi ogromne zmiany. Jak je Pani ocenia z perspektywy Warszawy?

Ja nie mogę tych zmian ocenić, powiem szczerze. Bo łatwo jest mówić, ale ja nie widziałam tak bardzo tych zmian. Bo jak przyjeżdżam, to jestem w teatrze. Koło teatru była nasza szkoła. Szkoła wygląda tak, jak wyglądała, tylko tam już nie wiem, ile jest różnych biur. Pamiętam, jak przyjechał mój kolega, Szymon Kozieł i mówi: „Gołda, jedziemy do Łodzi.” Poszliśmy do szkoły i ja tam zapukałam, zadzwoniłam i usłyszałam: „Czego!? Czego tu szukacie?” Odpowiedziałam: „Wspomnień.” Nie wpuszczono nas wtedy. Chociaż później byłam w szkole, w sali gimnastycznej... I mam nadzieję, że to też się uda na dwudziestą edycję Festiwalu Singera. Przyjeżdża duża grupa moich marcowych kolegów. I chcemy zrobić jeden dzień w Łodzi. I chcemy obejrzeć premierę „Śliwki”. Także... wrócimy do Łodzi.

Gdyby Pani miała Łódź nazwać jednym słowem, to jak ono by brzmiało?

Moja. Ta Łódź jest w moich wspomnieniach moja. I tego mi nikt nie zabierze. Ja nie widzę niczego kolorowego w Łodzi. W mojej wyobraźni. Ale ja chcę widzieć ją czarno-białą.

Jak przyjechałam i zobaczyłam Łódź, mój dom, moje mieszkanie... i tam była piwnica. Tam chodziliśmy z bratem po węgiel. Jak ja to otworzyłam... ja bym tam w życiu już nie weszła. A to się działo i ta piwnica została. Z całym domem, oczywiście. To niesamowite... Zawsze chciałam wejść do miesz-

kania. Zawsze. Mój przyjaciel, Marek Groński powiedział: „Gołda, zostaw wspomnienia”.

I nie weszła tam Pani?

Nie. Kasia Przybyszewska, która robiła tę książkę o mnie, weszła. Ona weszła. I opowiadała mi. Ja już teraz nie chcę tam wejść. Chcę to wszystko widzieć tak, jak kiedyś to widziałam.

Wywiad przeprowadzono w Teatrze Żydowskim im. Ester Rachel i Idy Kamińskich w Warszawie.

Filmowa wersja wywiadu:



TO JEST PO PROSTU MÓJ DOM

**Wywiad
z Aleksandrą Urbańczyk-Olejarczyk**

PŁYWACZKA. REKORDZISTKA I MISTRZYNI POLSKI.
MEDALISTKA MISTRZOSTW ŚWIATA I MISTRZOSTW EUROPY.
HONOROWA OBYWATELKA MIASTA ŁODZI.

Rozmawia – Dorota Ceran



ALEKSANDRA
URBAŃCZYK-OLEJARCZYK
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dorota Ceran: Urodziła się Pani w Łodzi i tu się Pani wychowała. Jakie to ma znaczenie dla Pani życia, dla kariery, dla Pani wyborów życiowych?

Aleksandra Urbańczyk-Olejarczyk: Mam poczucie, że jestem lokalną patriotką. Tutaj się urodziłam, tutaj się wychowałam, tu chodziłam do szkoły i tak naprawdę nigdy z Łodzi nie wyjechałam. Miałam wprawdzie okres, kiedy więcej mnie tu nie było niż byłam, ze względu na wyjazdy sportowe, ale czuję się bardzo mocno związana z Łodzią no i to jest po prostu mój dom, moje miejsce na ziemi.

Czy to, że jest Pani Honorową Obywatelką naszego miasta ma dla Pani jakiś szczególny walor, szczególne znaczenie?

Zanim dostałam ten tytuł, to wyróżnienie, tak naprawdę nie zdawałam sobie sprawy z tego, co to jest. Gdzieś tam czasami się słyszało, że ktoś jest Honorowym Obywatelą jakiegoś miasta, ale kiedy zostałam wyróżniona w ten sposób i zobaczyłam, jak mało osób na przestrzeni tych kilkudziesięciu lat ten tytuł otrzymało, jak mało osób zostało wyróżnionych (ja wówczas byłam 25. wyróżnioną osobą) to do mnie dotarło, że jest to olbrzymie wyróżnienie. I olbrzymi zaszczyt. I byłam wdzięczna, że to miejsce, w którym jest moje serce, miejsce, w którym się wychowywałam, które reprezentowałam na arenie sportowej na całym świecie, wręczyło mi to wyróżnienie. Dla mnie jest to zaszczyt. Na co dzień o tym nie myślę, ale wiem, że „wiszę” w Urzędzie Miasta Łodzi na ścianie

Kiedy zostałam wyróżniona w ten sposób i zobaczyłam, jak mało osób na przestrzeni tych kilkudziesięciu lat ten tytuł otrzymało, jak mało osób zostało wyróżnionych to do mnie dotarło, że jest to olbrzymi zaszczyt.

w gronie bardzo wybitnych osób, postaci wręcz historycznych, legend, to naprawdę jest to dla mnie duże wyróżnienie.

Jak wspomina Pani Łódź swojego dzieciństwa?

Wychowywałam się tutaj w śródmieściu, niedaleko miejsca, w którym teraz jesteśmy¹. Tu niedaleko jest mój dom rodzinny, kamienica, w której mieszkają moi rodzice (ja już nie). Tak naprawdę centrum miasta to jest moja Łódź. Tu się wychowałam, tutaj chodziłam do szkoły, tutaj trenowałam... więc to są moje zakamarki.

Pamiętam Łódź z czasów, kiedy nie było jeszcze Saspolu². W jego miejscu był mały rynek. Naprawdę pamiętam Łódź, w której nie było wielu miejsc, dzisiaj kultowych. Bo Łódź się bardzo zmieniła od czasów moich narodzin.

Zanim pojawiło się w Pani życiu pływanie i treningi, które odbywała Pani właśnie tu, w Łodzi, tańczyła Pani w zespole „Harnam”³. Ale ostatecznie nie związała się Pani z tańcem, dlaczego?

To nie do końca tak – ja najpierw zaczęłam pływać, bo już od siódmego roku życia, od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Więc tak naprawdę całe moje dzieciństwo, jak tylko pamiętam, to było jednak pływanie. Taniec również, ale to już po rozpoczęciu treningów pływackich. Wzorowałam się trochę na mojej kuzynce, która w „Harnamie” tańczyła i którą widziałam na deskach teatru, na których występowała. I mnie się to bardzo spodobało. Namówiłam rodziców, że chciałabym tam tańczyć. Bo ja zawsze lubiłam taniec. Rodzice wspominają, że cały czas chodziłam na paluszkach, jak baletnica. Wzięłam więc udział w naborze, a ciężko się było dostać do zespołu... był prawdziwy, można powiedzieć – casting na zasadzie zajęć próbnych. Obserwowano, czy ktoś ma poczucie rytmu, jak się porusza. Pamiętam Panią Kryńską i Pana Sitkowskiego⁴, czyli głównych nauczycieli, którzy przeprowadzali taką selekcję... I zostałam przyjęta w pierwszym naborze. I tak się zaczęła moja przygoda z „Harnamem”. A że przyszedł taki moment, że treningów pływackich było coraz więcej i były coraz cięższe,

¹ Wywiad przeprowadzono w siedzibie Fabryki Aktywności Miejskiej przy ulicy Tuwima 10 w Łodzi.

² Centrum Handlowe „Saspol” – budynek centrum handlowego wykonany w stylu postmodernistycznym, znajdujący się w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 95, wzniesiony w 1994 roku.

³ HARNAM – zespół tańca ludowego.

⁴ Maria Kryńska, Krzysztof Sitkowski.

to nie sposób było to pogodzić czasowo. Wiadomo, życie sportowca wiąże się z coraz częstszymi wyjazdami, godzinowo treningów jest bardzo dużo. A tańca też było bardzo dużo – 2, 3 razy w tygodniu po dwie godziny, a kiedy były występy to i dodatkowe próby... I przyszedł moment na podjęcie decyzji, co dalej. Rodzice po konsultacji z trenerem, który widział, że jestem troszeczkę zmęczona natłokiem zajęć, zapytali, co chcę wybrać, co chcę robić. Bez wahania porzuciłam taniec, mimo że z bólem serca. Bo to też sprawiało mi wielką radość. Zajęcia, próby, występy... Czułam się tam bardzo dobrze. Ale mimo to nie było żadnego zastanawiania się nad tym, co wybieram. Od razu wiedziałam – zostaję przy pływaniu.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Skąd u małej dziewczynki wzięła się ta miłość do pływania?

Źródło jest pewnie w wyjazdach rodzinnych. Na wakacje jeździło się nad wodę, nad jeziora. I rodzice widzieli, że ja w tej wodzie siedzę non stop i trudno mnie z niej wyciągnąć. Po prostu bardzo to lubiłam od najmłodszych lat. A że na szczęście szkoła z oddziałami sportowymi i basenem pływackim⁵ była dosyć niedaleko i mój starszy brat tam chodził, rodzice postanowili mnie tam zapisać. I to nie była decyzja siedmioletniej dziewczynki, że ja chcę pływać wyczynowo. Ja to po prostu bardzo lubiłam, a rodzice o tym wiedzieli. I cieszyłam się, że będę mogła rozwijać się w tym

⁵ Szkoła Podstawowa nr 173 w Łodzi.

kierunku. I z tym nie było problemu. Zaczęły się treningi. Ale na początku to też nie jest tak, że dziecko chce koniecznie od razu osiągnąć jakiś wielki sukces. Po prostu każdy dzień na basenie, każdy trening to była wielka frajda, wielka radość. I takie spełnianie się, próba dogonienia marzeń. Ale to jeszcze nie było związane z myślami o jakiejś wielkiej karierze. Pierwsze myśli o poważnej karierze zaczęły się wraz z pierwszymi wielkimi sukcesami.

Ja od samego początku, od pierwszych mistrzostw Polski zdobywałam medale. Były złote, srebrne, brązowe, czasami bywało też bez medalu, ale zawsze z tych głównych imprez juniorskich medale przywoziłam.

Jak Pani przyjęła pierwszy wielki sukces?

U mnie działało się to szybko. Dosyć wcześnie zaczęłam zdobywać jakieś medale. Rzadko się tak zdarza. Czasem jest tak, że komuś na początku ciężko jest się dostać do jakiegoś finału, ma jakieś czwarte miejsce...

Najgorsze, czwarte miejsce...

No właśnie. I kiedy mają 11, 12, 13 lat, czasem zawodnicy nie dostają się do finałów. Karierę rozwijają powoli i dopiero w czasach seniorskich zaczynają błyszczeć. A ja od samego początku, od pierwszych mistrzostw Polski zdobywałam medale. Były złote, srebrne, brązowe, czasami bywało też bez medalu, ale zawsze z tych głównych imprez juniorskich medale przywoziłam. I działało się to bardzo płynnie. Systematycznie było coraz lepiej, coraz lepiej... Biłam życiówki, później było pierwsze powołanie do polskiej kadry juniorów. I pierwsze wyjazdy na imprezy seniorskie. Wkroczyłam w ten świat seniorski dosyć wcześnie,

bo swój pierwszy medal na mistrzostwach seniorskich zdobyłam, kiedy miałam 14 lat, czyli dosyć wcześnie. Kiedy miałam 16 lat, w roku 2003 już byłam na mistrzostwach świata. A po igrzyskach olimpijskich jest to największa impreza. Także dość wcześnie wkroczyłam w zawodowy, profesjonalny świat pływacki. I już wiedziałam, że to będzie mój sposób na życie, że to jest to, czym będę się zajmować i na czym chcę się skupić.

Zawsze zastanawiałam się nad tym, jak to jest, że sportowcy, których praca jest mordercza, katorżnicza - jeśli chcą uzyskać jakieś sukcesy na tym polu, nie zaczynają po prostu nienawidzić tego, co robią, nienawidzić tej swojej ciężkiej pracy?

Mam wielu znajomych, którzy po zakończeniu kariery mieli tzw. wodowstręt. Nie chcieli w ogóle na basen chodzić, nawet rekreacyjnie. Bo byli tak zmęczeni fizycznie i psychicznie tą katorżniczą pracą, którą wykonali, że nie chcieli tego basenu w ogóle na oczy widzieć. Tak też się zdarza. Ale ja nigdy nie miałam wodowstrętu. To jest zakorzeniona pasja i miłość do tego, co się robi. A jeśli na co dzień robi się to, co się kocha, to nie przychodzi się na trening z wyrzutami czy w złym humorze i z pytaniem „Co ja tutaj w ogóle robię?” Wiadomo, to jest katorżnicza praca, to jest wstawanie bardzo wcześnie rano. W przypadku pływaków zazwyczaj o 5:00 rano. Jeśli ktoś ma 13, 14 lat i mówi, że trenuje pływanie, to bądźmy pewni, że wstaje o 5:00 rano. Bo tak się zaczynają treningi pływackie w związku z tym, że jest jeszcze szkoła, a trzeba zmieścić dwa treningi w ciągu dnia. Więc ten pierwszy trzeba zrobić bardzo wcześnie rano, jeden przed, drugi po zajęciach szkolnych. Jest to bardzo ciężka praca. A jest to ten sport, który trzeba zacząć trenować dosyć wcześnie, czyli w wieku siedmiu, ośmiu lat. Tak zaczynają pływać swoją przygodę z pływaniami. Toteż się nie dziwię, że jak ktoś ma 15, 16 lat – ma dosyć. Bo czasem nie znamy innego życia, tylko szkoła-basen, szkoła-basen... Jeśli to się jeszcze nie pokrywa z jakimiś sukcesami, brakuje motywacji, tego bodźca do jeszcze cięższej pracy, do znowu kolejnego budzika o 5:00 rano, to jest ciężko, by podjąć się kolejnych wyzwań. Ja miałam cały czas jakieś bodźce, choć nie mówię, że nie było upadków, bo były. Ale miałam też sukcesy, medale... i chciałam przesuwając swoje granice, pobijać swoje czasy. I to mi się udawało. I chciałam cały czas więcej i więcej. Wiadomo, że były porażki. Niejedna... Wiele tych porażek było... Wiadomo, że jak są sukcesy, to wszyscy o nich słyszą, a o porażkach zawsze jest trochę gorzej mówić.

Wiadomo, że jak są sukcesy, to wszyscy o nich słyszą, a o porażkach zawsze jest trochę gorzej mówić. Ale każdy sportowiec je ma, nawet ten, który jest mistrzem olimpijskim, miał na swojej drodze wiele porażek. Mnie te porażki zawsze motywowały do jeszcze cięższej pracy.

Ale każdy sportowiec je ma, nawet ten, który jest mistrzem olimpijskim, miał na swojej drodze wiele porażek. Mnie te porażki zawsze motywowały do jeszcze cięższej pracy. Przerabiałam je sobie w głowie. Wiadomo, że był też często płacz, była taka sportowa złość... Czasami jeden dzień nie chciałam iść na trening. Chciałam w ten jeden dzień odpocząć, oczyścić głowę, żeby móc kolejnego dnia skoczyć z nowymi celami do wody.

Wyciągamy wnioski, trenujemy dalej, bo mamy kolejne cele, które sobie wyznaczamy – mistrzostwa Europy, mistrzostwa świata. Wymarzone medale, wymarzone cele, wymarzone czasy. Bo w tym wszystkim chodzi też o to, by przesunąć swoje granice, bić rekordy. Najpierw życiówki, później rekordy Polski, Europy i świata, jak ktoś jest już wybitnym sportowcem. O to w tym wszystkim chodzi i ja się zawsze tym napędzałam. I nigdy nie miałam czegoś takiego, że nienawidzę basenu, nienawidzę czepka, okularków, chowam je w szufladzie i nie chcę na nie patrzeć. Mimo że zakończyłam karierę, to chętnie bym na basen poszła. Choć dzisiaj mam inne obowiązki, trochę mniej czasu. Jestem mamą dwójki małych dzieci i teraz troszeczkę inaczej na to wszystko patrzę.

Jedna miłość wyparła drugą.

Tak, dokładnie. Skończyłam pływać i od razu praktycznie byłam mamą. Więc nie miałam czasu na to, o czym się na szczęście często teraz mówi, czyli na taki stan przejściowy, na te różne zawahania – co teraz będę robiła?, na depresję.

Na szczęście o tym mówi się teraz głośno. Nie dziwię się, że wielu sportowców po zakończeniu kariery nie wie, co ma robić, pojawia się depresja, pojawia się ciężki stan. Bo całe nasze życie było dokładnie ułożone. Od weekendu do weekendu cały rok był rozpisany. I nagle pojawia się pustka. Wiadomo, że większość osób przygotowuje sobie plan B. Ale jednak jest to zupełnie inne życie, zupełnie inny rytm dnia, każdego miesiąca, po prostu – funkcjonowania. Ja na szczęście miałam płynne przejście. Był ostatni start, później już byłam w ciąży i byłam podekscytowana tą nową sytuacją, do której się przygotowywałam. Poza tym cały czas pracowałam, bo mam swoją szkołę pływania. Ale w głowie miałam nowy cel, czyli bycie mamą. I dzięki temu nie miałam możliwości płakać po karierze, czy też tęsknić za bardzo. Choć bywają momenty, że trochę zazdroścę tym sportowcom, którzy mają możliwość jechać na jakieś zawody, ścigać się, sprawdzać i czuć tę adrenalinę przed startem, przed kolejnym wyzwaniem. Bo to są piękne emocje i uczucia, które w życiu codziennym trudno osiągnąć. I tylko sportowiec zrozumie z czym to się wiąże, zrozumie tę satysfakcję, kiedy jest upragniony wynik, upragnione miejsce.

Zwiedziła Pani kawał świata, była Pani na niemal wszystkich kontynentach. Jak ludzie reagowali na to, że jest Pani z Polski, że jest Pani z Łodzi? Czy cokolwiek wiedzieli o tym rejonie świata? Czy ktoś pytał, skąd Pani jest?

W niektórych krajach, jak się mówiło „Poland”, to coś świtało, ale nie wiedzieli dokładnie, gdzie to

W niektórych krajach, jak się mówiło „Poland”, to coś świtało, ale nie wiedzieli dokładnie, gdzie to jest, a Łódź to już w ogóle...

jest, a Łódź to już w ogóle... Jedynie wśród naszych bliskich sąsiadów, jak Czechy, Słowacja, Niemcy, to jak się mówi „Łódź” to wiedzą, że to jest centrum Polski. Ale jak się wyjeżdżało poza nasz kontynent, to już było ciężko. Nawet o Polsce nie wiedzieli. Myśleli, że „Holand” i musiałam tłumaczyć, że nie „Holand”, że nie Niderlandy tylko „Poland”. Ale ciężko im było to zlokalizować. Sportowcy z innych krajów, z którymi cały czas funkcjonujemy razem, na zgrupowania często jeździliśmy razem, na torach obok siebie pływamy, wiedzieli. Ale jak wychodziliśmy na miasto, żeby pozwiedzać, to ludziom niezwiązanym ze sportem ciężko było odgadnąć, gdzie jest ta Polska.

Zwiedziłam tych krajów naprawdę bardzo dużo. W wielu krajach byłam najczęściej na pływalni i w hotelu. Ale mieliśmy swój system, żeby po ostatnim starcie iść, nawet późno wieczorem, przejść się np. ulicami Paryża, zobaczyć wieżę Eiffa, Pola Elizejskie chociażby nocą. W większości zawodów jest tak, że przyjeżdża się i ma się trzy

dni, żeby się zaaklimatyzować, żeby poznać obiekt, pływalnię, żeby odpocząć po locie. Wtedy nie chodzi się na żadne zwiedzanie miasta. Skupiamy się na starcie. Jak komuś udało się skończyć starty w sobotę, a jeszcze była niedziela a w poniedziałek lot, to był szczęśliwy, że może coś zobaczyć. Ale też bardzo często zgrupowania były gdzieś na krańcu świata. Na przykład kilkakrotnie mieliśmy zgrupowania w RPA, w pięknych miejscach, więc gdy trening kończył się w sobotę po południu, niedziela była wolna. I wtedy mieliśmy czas, żeby popłażować, żeby

Mamy wiele takich miejsc w Łodzi, bardzo różnorodnych, bardzo klimatycznych. To, co podoba mi się najbardziej, to te cegły, te przerobione fabryki, gdzie połączona jest nowoczesność z tym, co było kiedyś.

coś zobaczyć, żeby ten kraj troszkę poczuć, posmakować. I tak bardzo wiele zdążyliśmy zobaczyć mimo to, że lepiej znaliśmy pływalnie i hotele.

Co, Pani zdaniem, należy podkreślać, mówiąc o Łodzi ludziom, którzy nie mają pojęcia o naszym mieście?

Tym, którzy dawno temu byli w Łodzi, a wiele lat w niej nie byli, na pewno trzeba podkreślić to, że Łódź bardzo się zmieniła. Bo ja spotykam się cały czas ze złymi opiniami o Łodzi. Że Łódź jest brzydka, że jest nudna... i wtedy pytam „Kiedy ostatni raz w tej Łodzi byłeś?” „Ano, dziesięć lat temu”. To ja mówię, że przez te dziesięć lat możesz nie poznać Łodzi. Ona się tak zmienia, a ja widzę to na co dzień na przestrzeni tych trzydziestu pięciu lat mojego życia. Widzę to i jestem pod wielkim wrażeniem. I wiem, jak było kiedyś i jak jest dzisiaj. Na pewno, reklamując tak Łódź mogę stwierdzić, że w niej można robić naprawdę wszystko. Każdy, czy sportowiec, czy jakiś fan sztuki, ludzie szukający zderzenia różnych kultur, będą mieli co tutaj robić. To widać gołym okiem na co dzień – idąc ulicą Piotrkowską. Ale dzisiaj, na szczęście, to już nie tylko ulica Piotrkowska. To się rozprzestrzeniło po całym mieście, gdzie można znaleźć zakątki i dla



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

miłośników sportu, miłośników imprez, kultury, sztuki, dla rodzin z dziećmi...

...dla miłośników dobrego jedzenia...

O właśnie! To w Łodzi bardzo lubię, bo, teraz już rzadziej, ale kiedy jeszcze nie miałam dzieci – to z mężem bardzo często lubiliśmy wyjść sobie na miasto, na kawę usiąść przy oknie i obserwować łodzian (i nie tylko), i to co się dzieje za oknem. Teraz też staramy się iść do dobrej knajpki. A nie jest to jedna czy dwie restauracje, tylko tak naprawdę cała gama i dla każdego podniebienia można coś znaleźć. I, co mnie cieszy, mamy wiele takich miejsc w Łodzi, bardzo różnorodnych, bardzo klimatycznych. To, co podoba mi się najbardziej, to te cegły, te przerobione fabryki, gdzie połączona jest nowoczesność z tym, co było kiedyś. To jest tak pięknie zrobione... Jak choćby miejsce, w którym teraz rozmawiamy (ul. Tuwima 10 – przyp. red.). Miejsce jest odrobinę

Mamy wiele takich miejsc w Łodzi, bardzo różnorodnych, bardzo klimatycznych. To, co podoba mi się najbardziej, to te cegły, te przerobione fabryki, gdzie połączona jest nowoczesność z tym, co było kiedyś.

ukryte, ale jeśli ktoś spojrzy z ulicy Tuwima w lewo (idąc od ul. Piotrkowskiej – przyp. red.) to widzi, że jest to miejsce z tradycją, historią, ale jest już przerobione na Łódź nowoczesną.

I cieszy mnie, że to nie jest Łódź nowoczesna – oszklona i betonowa, tylko ceglana z elementami nowoczesności, industrialna. Tylko trzeba się rozejrzeć. Bo czasami ktoś idzie i nawet nie patrzy w prawo ani w lewo. Ja nawet ostatnio mówię do mojej mamy „Czy wy byliście z tatą w pasażu Róży⁶?”, „No nie byliśmy, a gdzie to jest?”

6 Podwórze Kamienicy Antoniego Engela przy ul. Piotrkowskiej 3 zostało ozdobione mozaiką ciętych luster o różnych kształtach. Projekt zrealizowano w ramach Festiwalu Łódź Czterech Kultur w 2014 roku. Autorką instalacji jest Joanna Rajkowska. Lustrzane elementy tworzą figury przypominające róże.

„Przejdźcie się Piotrkowską – mówię – zajrzyjcie w te podwóreczka, one są tak piękne i ciekawe... głównie na Piotrkowskiej jednak są ukryte te podwórka – piękne architektonicznie, z różnymi ciekawostkami, z wymalowanymi muralami”. Czasami nawet sami łodzianie nie wiedzą, co ta Łódź kryje w sobie. A kryje bardzo dużo, tylko trzeba znaleźć dobry przewodnik, albo dobrego przewodnika-łodzianina, który tę Łódź bardzo dobrze zna i zarezerwować sobie kilka dni, bo w weekend nie da się wszystkiego zobaczyć. Do Łodzi można przyjechać z rodziną, albo parą, i na pewno będzie co robić, i w dzień, i w nocy.

Lubię łódzkie parki, teraz jestem w nich częściej, bo wiadomo – ze względu na dzieci. Lubię park im. Poniatowskiego – takie centrum Łodzi, bardzo zielone.

Trudno o piękniejszą zachętę. A jakie jest Pani ulubione miejsce w Łodzi? Takie, bez którego nie wyobraża Pani sobie tygodnia?

Oooo, to ciężko powiedzieć... naprawdę. To zależy od pory roku. Jak mówiłam, teraz rzadziej, ale kiedyś przynajmniej raz w tygodniu szliśmy z mężem do jakiejś knajpki coś zjeść. I jesteśmy naprawdę zauroczeni OFF Piotrkowską⁷. Głównie latem ma swój klimat, te wszystkie ogródki w tych pięknych ceglach... i te światełka, i pyszne jedzenie. Mam kilka ulubionych knajp (nie będę może mówiła, które to dokładnie) ale w ogóle OFF Piotrkowska jest takim miejscem, gdzie lubimy pójść, usiąść i spokojnie zjeść. Latem, w słoneczku pokosztować, wypić kawę.

7 OFF Piotrkowska – alternatywny kompleks wielofunkcyjny usytuowany w Łodzi na terenach dawnej przędzalni i tkalni Franciszka Ramischa przy ul. Piotrkowskiej 138/140. Obiekt znajduje się na liście siedmiu nowych cudów Polski, która powstała w 2014 roku w oparciu o wyniki plebiscytu z udziałem czytelników „National Geographic Traveler”.

Poza tym cała Piotrkowska. Na spacer. Jestem z nią związana rodzinnie, tu mieszkają moi rodzice, moi teściowie. I po niedzielnym obiedzie idziemy się przejść i zobaczyć, co się dzieje na Piotrkowskiej. Bo co weekend latem dzieje się tu coś fajnego.

Lubię łódzkie parki, teraz jestem w nich częściej, bo wiadomo – ze względu na dzieci. Lubię park Poniatowskiego – takie centrum Łodzi, bardzo zielone. Też wracam do różnych miejsc sentymentalnie. Ostatnio byłam na jubileuszu mojej szkoły (SP nr 173 – przyp. red.) I tak się cieszyłam, że mogłam tam znowu być w tych rejonach. Bo teraz jestem tam bardzo rzadko. Kiedyś byłam codziennie w parku Sienkiewicza. Teraz już, niestety – nie.

Park Sienkiewicza też się zmienił.

Bardzo. Od tego czasu, kiedy ja tam chodziłam do szkoły, zmienił się bardzo. A szkoła zmieniła się bardzo mało. Są jeszcze niektórzy moi nauczyciele i inni pracownicy szkoły. I jak przyszłam tam ostatnio, to poczułam ciepło na sercu, bo mogłam porozmawiać, wspominać... bo to było moje miejsce, gdzie chodziłam bardzo wiele lat, wylałam wiele potu, bo kiedy już nawet nie chodziłam tam do szkoły, to chodziłam tam na basen trenować.

Łódzką trójkę, moje liceum, też darzę sentymentem (obie szkoły są w bezpośrednim sąsiedztwie, przy parku im. Sienkiewicza – przyp. red.)... w ogóle te okolice. Ale nie mogę wskazać jednego, ulubionego miejsca. Centrum Łodzi jest na pewno najbliższe mojemu sercu, bo się tu wychowałam, większość rzeczy działa się tutaj, w tym kwadracie.

Mam jeszcze jedno, trudne pytanie. Gdyby Pani miała nazwać Łódź jednym słowem, to jakie ono by było?

O matko! Dla kogoś obcego, czy dla siebie?

Dla siebie.

Mój dom. Po prostu. Nie wyobrażam sobie, by stąd wyjechać do innego miasta, innego państwa. Bo jestem bardzo związana z rodziną, bardzo cenię sobie relacje międzyludzkie, a tu jest większość mojej rodziny. I w okolicach Łodzi. Bo moi rodzice pochodzą z okolic Łodzi. Przyjaciół mam porozrzucanych po całej Polsce, i mam w Polsce swoje ulubione

miasta, ulubione knajpki, bo przecież bardzo dużo czasu spędzałam także poza Łodzią, w różnych miastach.

Tak. Po prostu dom. Mój dom.

*Wywiad przeprowadzono w Fabryce Aktywności Miejskiej
Urzędu Miasta Łodzi.*

Filmowa wersja wywiadu:



NAJBARDZIEJ PRZYJAZNE MIEJSCE NA ZIEMI

Wywiad z Anną Marią Wesołowską

ŁÓDZKA SĘDZIA, WSPÓŁAUTORKA USTAWY O ŚWIADKU
KORONNYM,
EKSPERTKA OD PRZESTĘPCZOŚCI ZORGANIZOWANEJ.
ZASIADAŁA W SKŁADACH ORZEKAJĄCYCH W PROCESACH
ŁÓDZKIEJ „OŚMIORNICY” I GANGU POPELINY.
WYCHOWAWCA MŁODZIEŻY CZYNNIE UCZESTNICZĄCY
W WYKŁADACH I LEKCJACH WYCHOWAWCZYCH
PRZESTRZEGAJĄCYCH M.IN. PRZED HANDLEM I UŻYWANIEM
NARKOTYKÓW.
WIELOLETNI DORADCA SPOŁECZNY RZECZNIKA PRAW DZIECKA
MARKA MICHAŁAKA.
ŁÓDZIANKA.

Rozmawia – Arkadiusz Grzegorzcyk



ANNA MARIA WESOŁOWSKA
FOT. KORALIK82

Arkadiusz Grzegorzczak: Pani sędzio, to dla mnie jedyna okazja w mojej karierze dziennikarskiej, żebym mógł zaproponować tekst przyrzeczenia, że będziemy mówić, prawdę, całą prawdę...

Anna Maria Wesołowska: ... i tylko prawdę.

A rzecz dotyczy naszego miasta z okazji jubileuszu 600-lecia. Rozmawiamy z osobami, które są znane w Łodzi i poza Łodzią na temat tego, jak się miasto zmieniło, na temat wspomnień związanych z miastem. Rozumiem, że jest Pani rodowitą łodzianką i że tutaj rozpoczęła się Pani zawodowa kariera?

Tak. Jestem rodowitą łodzianką. Mieszkałam na ulicy Żeromskiego. Tam się urodziłam. Nawet ostatnio podjechałam tam z wnuczkami, chciałam im pokazać miejsce, gdzie babcia biegła po podwórku i była szczęśliwa. To był jeden pokój, bez łazienki... właściwie bez niczego. Na drewnianym podeście w takich mieszkaniach żyły trzy rodziny. Pewnie te prowizorki nie wytrzymały próby czasu i zostały rozebrane. Trochę zrobiło mi się smutno, ponieważ wnuczki nadal nie chcą wierzyć, że można było mieszkać bez własnego pokoju, bez ogrodu, bez łazienki i cieszyć się życiem.

*Jestem rodowitą łodzianką.
Mieszkałam na ulicy Żeromskiego
i tam się zresztą urodziłam.
Nawet podjechałam tam
ostatnio z wnuczkami i chciałam
im pokazać to nasze
rodzinne mieszkanie.*

To była kamienica?

To była przyczepiona do kamienicy jakaś platforma, na której były postawione pojedyncze pokoje,

w których mieszkali ludzie. Żeromskiego 37. Tuż przy Zielonej.

Czy wspomnienia bardzo różnią się od tego, co dzisiaj można zobaczyć w Łodzi?

Nie no... to jest zupełnie inna Łódź. Chociaż inna, a jakby ta sama. Bo nadal jest kiosk po drugiej stronie ulicy, gdzie jako dziecko biegałam (można było przejść przez ulice, bo nie było samochodów). Sąsiedzi przez lata opowiadali, jak poszłam do tego kiosku i poprosiłam o gazetę „Pani Dziecko”. Była taka gazeta „Twoje Dziecko”. Pani w kiosku pyta: „Moje?” „Tak” - odpowiedziałam zawstydzona. Nie potrafiłam powiedzieć „twoje” do dorosłej osoby. I pani się śmiała...

Pamiętam, jak biegaliśmy z fajerkami po ulicy, pamiętam maleńkie sklepiki – obecnie tzw. Zielony Rynek. Dzisiaj on już za bardzo zielony nie jest, ale za to jest elegancki. Kiedyś tam można było kupić mydło, powidło i pietruszkę. Dziś też. Tylko, że w pawilonach.

Zmieniło się. Czy to są te okolice, które towarzyszyły Pani do czasów szkolnych, czy później jeszcze też, w czasach studenckich?

Dosyć długo... Potem się przeprowadziłam na ulicę Gdańską, gdzie mieliśmy ładne, dwupokojowe mieszkanie. Do mojego kochanego liceum im. Mikołaja Kopernika było blisko, to przecież rzut beretem od Żeromskiego i od Gdańskiej.

Teraz miasto zmienia się jak w kalejdoskopie. Korki, więc omijam centrum. Jak się nieraz jednak wybiorę z wnukami na pizzę, to nie mogę uwierzyć jak stare kamienice pięknieją. One dawniej też były piękne, ale z czasem marniały. Natomiast dzisiaj są odrestaurowywane, olśniewają urodą. Bogato rzeźbione fasady, ciekawa ornamentyka, neobarokowy przepych fabrykanckich rezydencji sprawiają, że czujemy się trochę jak w muzeum, chcemy poznać historię tych dzieł sztuki... Na rogu Gdańskiej i kiedyś Obrońców¹... jadę i nie mogę poznać. Rzeczywiście – przepiękne i zaskakujące jest to miasto. Najbardziej to chyba z dawnych lat pamiętam dzisiejszą Manufakturę. Chodziliśmy tam na wycieczki szkolne. Tramwaj jeździł pośrodku, ludzie tam mieszkali i pracowali. . Dzisiaj to jest zupełnie inne miejsce. Duma Łodzi, czyli Manufaktura to miejsce spotkań rodzinnych i towarzyskich, ciekawych

¹ Ulica obrońców Stalingradu do 1994 roku, obecnie - Legionów.

impresz kulturalnych, no i oczywiście centrum handlowe.

W którym momencie pojawił się pomysł związania przyszłości z zawodem prawniczym? To była sprawa przypadku, czy głębszych przemyśleń?

Raczej przypadku, ponieważ od piątego roku życia tańczyłam w balecie. Widziałam swoją przyszłość w zawodach artystycznych. Chodziłam na zajęcia do Młodzieżowego Domu Kultury na Moniuszki². Pamiętam do dzisiaj... stałyśmy z koleżankami pod oknem tamtejszego teatru i jak zaczarowane czekałyśmy, kiedy pojawi się Janek z „Czterech pancernych i psa”.

Janusz Gajos...

Tak, blondyn, bożyszczko nastolatek. W tym teatrze wystawialiśmy przedstawienia. Ja byłam Śnieżką, brat był... królewiczem?... nie, chyba leśniczym. Tańczyliśmy w balecie, chodziliśmy na basen, uczyłam się tam angielskiego. Trochę to teraz chyba umarło.

YMCA działa, ale jest obecnie bardzo zaniedbana.

Widziałam i łażą się kręci w oku. To było kultowe miejsce w Łodzi. Stamtąd szło się, jak już byłam starsza, na bigiel³. Po drodze „Honoratka”. Nie każdy mógł tam wejść, ale jak już znalazł się stolik, kawa w towarzystwie gwiazd kina smakowała wybornie. Moniuszki, Piotrkowska - to część miasta, która była cały czas w ruchu... Nie byłam za bardzo rozrywkowa, więc „Siódemka”⁴ nie pamiętam, ale wiem, że tam też się dużo działo. Nie ze wszystkiego korzystałam. Wolałam zajęcia teatralne, konkursy tańca towarzyskiego, czy występy z zespołem ludowym Boruta ze Zgierza. Może dlatego byłam święcie przekonana, że zostanę instruktorką tańca. Moja wnuczka ostatnio w Dzień Dobry TVN ujawniła, że chciałam być najpierw przedszkolanką, później zdawałam do szkoły cyrkowej, ale się nie dostałam, więc poszłam do sądu. Dzisiaj cała Polska mnie pyta: „Jak nie cyrk, to sąd?” Dzisiaj pytanie warte zastanowienia.

² Obecnie YMCA.

³ Bigiel to w łódzkiej tradycji językowej – miejsce zabawy, relaksu. AMW ma z pewnością na myśli pobliski deptak ulicy Piotrkowskiej.

⁴ Klub studencki „Siódemka” przy Piotrkowskiej 77.

A jak wspomina Pani czasy licealne, sławny „Koper”?

„Koper” to najpiękniejsze słowo świata. Każdą społeczność tworzą ludzie. A tam były autorytety. Była surowa i zarazem wspierała pani profesor Sahadyniuk, którą pamiętam do dzisiaj. Byłam wychowana w rodzinie, gdzie mówiło

„Koper” to najpiękniejsze słowo świata. Każdą społeczność tworzą ludzie. A tam były autorytety.

się prawdę o Katyniu i o wielu innych sprawach; mama była zakręcona na punkcie historii. Trudno mi było na lekcjach historii w komunistycznej przecież szkole – i nie komunistycznej zarazem, bo nigdy

bym jej tak nie nazwała – przekazać to, co było w komunistycznym podręczniku. Za „prostowanie” historii wylatywałam z klasy. Pani profesor mrugała do mnie okiem, a ja wiedziałam, co chce mi powiedzieć; „Żeby ci nie zrobić krzywdy – wyjdiesz, ale... masz rację.” My czuliśmy siłę naszych profesorów i żaden ustrój nie był nam straszny. Było to coś, z czym później mieliśmy walczyć, ale się nie baliśmy. No właśnie... nie kłóciliśmy się ze sobą, nie niszczyliśmy siebie nawzajem. Nawet jak wiedzieliśmy, że ktoś jest na przykład córką policjanta⁵, ale ten policjant był super facetem, wykonywał swoją pracę, bo musiał, bo utrzymywał swoją rodzinę, to wiedzieliśmy też, że jest z nami.

Pamiętam, jak ludzie, którzy należeli do partii, chodzili do kościoła w ciemnych okularach. Bo przecież nie bardzo im było wolno. Ale chodzili. A dzisiaj młodzież przestaje chodzić, nawet bez okularów i zakazów.

⁵ Wtedy: milicjanta.

Ukończyła Pani Uniwersytet Łódzki?

Tak.

Od razu było to prawo, czy jeszcze jakieś inne próby Pani podejmowała?

Nie, nie podejmowałam. W pewnym momencie na swojej drodze spotkałam panią sędzię Irenę Szuster. Niewiele starszą wtedy ode mnie, ale tak pięknie mówiła o swoim zawodzie... Była koleżanką mojego zmarłego męża. I pomyślałam, że warto spróbować, że to jest coś takiego, w czym też może umiałabym się realizować. Zawsze chciałam być blisko ludzi. Powiedziałam sobie: „Spróbuję” choć kompletnie nie byłam przygotowana do egzaminu na prawo. Artystyczne zawody mało się z tym wiązały... a może jednak... sąd to też teatr. Spróbowałam. Moje szczęście, że egzaminy były ustne. Dzisiejszych testów prawdopodobnie bym nie zdała. Ale umiałam przekonać profesorów, że zależy mi na tym, żeby zmieniać rzeczywistość. Może nie zmieniać, ale sprawić, żeby ona się zmieniła. I... zdałam! Za pierwszym podejściem.



I LO W ŁODZI - KOPER
FOT. DOMENA PUBLICZNA

To połączenie zamiłowań artystycznych i doświadczeń prawniczych zaowocowało niezwykle projektem medialnym, który upowszechnia i edukuje w zakresie prawa⁶. Ten program stał się rodzajem misji dla Pani?

Dzisiaj nie żałuję, że wzięłam udział w tym programie. Spotykam się z dziećmi i dorosłymi w całej Polsce i mimo, że minęło już 17 lat od chwili, gdy zaczęliśmy nagrywać, to ten program jest ciągle żywy. Ludzie chcą wiedzieć, jakie zachowania są piętnowane, gdzie przebiegają granice między dobrem, a złem. One się nam dzisiaj coraz bardziej zacierają, więc program zaczyna mieć ogromną wartość edukacyjną. Mnie na nim zależało, choć niekoniecznie zależało mi na tym, żeby w nim wystąpić. Orzekałam wówczas w sprawie łódzkiej „ośmiornicy” – a to trzysta tomów akt, czterystu świadków do przesłuchania... Było co robić. Kiedyś sędzia w telewizji to była nowość. Nikt się nie chciał zgodzić, zresztą nawet prezesi nie wyrażali zgody. Więc ja też nie bardzo chciałam. Szukałam innego sędziego, który zagrałby w tym programie, ale niestety, nie udało mi się. Jeden z kolegów sędziów z Poznania powiedział: „Przestań się męczyć. Zobaczysz, ktoś dla kasy się zgodzi.” I wtedy zrozumiałam, że udział w programie to nie jest ot, taka sobie decyzja. Bo pomyślą, że masz parcie na szkło, że robisz to dla kasy... czy zatem mogłam szukać młodego sędziego i narazić go na to, co ja później przesłam? Chyba nie. W związku z tym podniosłam słuchawkę i powiedziałam: „Zgadzam się.”

6 Program TVN – „Sędzia Anna Maria Wesołowska”.

Czy ten program był wymyślony wspólnie z Panią?

Nie. To jest program na licencji niemieckiej⁷. Takie programy są w kilkunastu krajach Europy.

Tak zwany format...

Tak. W tym wypadku jest to show sądowy. To mnie udało się z tego zrobić program edukacyjny. Niemcy do dzisiaj nie są w stanie zrozumieć, dlaczego program cieszy się taką popularnością wśród młodzieży. Przysłali jakieś osoby do zbadania, co się dzieje w Polsce, że nawet dzieci uwielbiają ten program. Przecież przedszkolaki, jak wchodzi mówią: „Jak pani wysła z tego telewizora?” Okazało się, że wyniki tych badań są dla mnie może niezaskakujące – że mój głos uspokaja, że dzieci nawet nie bardzo wiedzą, co tam się dzieje, ale mój głos je wycisza. Nieraz mówią: „Pani sędzio, jak nasza pani ogląda pani program, to już na nas nie krzyczy.” Czyli coś musi być w tym spokoju, który jednak w sali rozpraw obowiązuje.

Ten program do tej pory krąży w powtórkach...

Ja już tego nie śledzę, a tantem z tego żadnych nie mam. Ale chwilami on jest pięć razy w tygodniu na dwóch, a może czasem nawet na trzech programach. To jest taka dawka Wesołowskiej... z lodówki wyskakuję.

Ten szyld, ta marka „Anna Maria Wesołowska” funkcjonuje. Nie ma chyba osoby, która by nie znała, nie słyszała tego hasła. Czerwone Gitary śpiewały kiedyś piosenkę „Anna Maria smutną ma twarz”. Może nawet pojawiło się to w jakichś sytuacjach młodzieżowych? A przecież Pani jest odznaczona Orderem Uśmiechu.

Nie. Jestem w kapitule Orderu Uśmiechu. Z panem Markiem Michałkiem⁸, rzecznikiem praw dziecka, jedynym chyba, który tak wiele zrobił w ostatnich czasach dla dzieci. Poprzedników też miał świetnych. Nadal się spotykamy, bo to jest człowiek, który dla dzieci robi wszystko. I takiego rzecznika chciałabym, żebyśmy mieli.

7 „Richter Alexander Hold”.

8 Marek Michałak - polski pedagog specjalny i działacz społeczny, doktor nauk społecznych, kanclerz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu, przewodniczący Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka, w latach 2008–2018 rzecznik praw dziecka.

A ostatnia akcja związana z książką z rysunkami dzieci⁹ polega na szczególnym dotarciu do rodziców?

Powstał program profilaktyczny, który rodził się przez lata, od pierwszej lekcji wychowawczej w łódzkim sądzie, która miała miejsce w 2000 roku, czyli minęły już 23 lata. Zaczęłam wówczas zapraszać młodzież na lekcje wychowawcze do sądu, na prawdziwe rozprawy, żeby zobaczyli, jak wygląda życie po błędzie. Zdawałam sobie sprawę, że tylko mocną profilaktyką możemy zatrzymać to, co złe. Profilaktyką, która dociera do młodzieży. Przez moją prawdziwą salę rozpraw przeszło kilkanaście tysięcy łódzkich uczniów. Te dzieciaki spotykam po latach. Podchodzi do mnie w Manufakturze dorosły mężczyzna i mówi: „Pani sędzio, dziękuję. Dziesięć lat temu byłem na zakręcie, rodzice się kłócili, rozwodzili, miałem tego dosyć. Zaczęły się wagary, papieroski, alkohol... Ale kiedy przypomniałem sobie smutne oczy oskarżonego, kajdanki na rękach, powiedziałem – dosyć. Nie pozwolę nikomu swojego życia spaprać i sam do tego ręki też nie przyłożę. Dzisiaj mam żonę, dziecko, fajną pracę, dziękuję”. I na tym polega profilaktyka, która trafia w potrzeby, prawda? Ta lekcja wychow-



FOT. DOROTA CERAN

⁹ Nie kłóćcie się. Jak pomóc dzieciom, kiedy rodzice się kłócą, Anna Maria Wesołowska, Agnieszka Wesołowska, Sensus, 2022.

awcza w sądzie jest nadal świetną formą przeciwdziałania temu, co złe. Oczywiście, zdawałam sobie sprawę z tego, że całej młodzieży nie zaproszę. W związku z tym - ponad dwadzieścia lat temu - zaczęłam pisać dla naszych dzieciaków poradnik prawny¹⁰. Przy czym to nie miał być na początku poradnik. W Dzienniku Łódzkim zaczęły się ukazywać felietony „Sędzia Wesołowska doradza nauczycielom i uczniom”. Tu też nie było aplauzu ze strony świata prawniczego: „Ty nie jesteś od edukowania, tylko od orzekania”. Nie dość, że są lekcje wychowawcze i dzieciaki po sądzie się pałętają – to jeszcze ta książka, pisana językiem prostym, dla ludzi... Jak pisałam taki felieton, to moje córki brały go do szkoły, klasa podkreślała na czerwono to, czego nie są w stanie zrozumieć, i dopiero jak nie było czerwonego, to felieton szedł do druku. W poniedziałek dzieci to z gazety wycinały i omawiały na lekcjach wychowawczych w szkole. Ostatnia książka, to jest kolejny etap moich działań profilaktycznych. Dzisiaj granica między dobrem a złem, wygłupem a przestępstwem, żartem a wykroczeniem kompletnie zaczęła się zacierać, i to nie tylko u młodzieży, ale również u dorosłych. Tę granicę mają jeszcze maluszki. Dla mnie jest niesamowite, że moralność dziecka, tego małego, jest taka czysta i niczym nieskażona. Ono intuicyjnie wie, co jest dobre, a co złe.

Dzisiaj granica między dobrem a złem, wygłupem a przestępstwem, żartem a wykroczeniem kompletnie się zaczęła zacierać, i to nie tylko u młodzieży ale również u dorosłych

Rodzimy się pełni wiary w to, że świat jest dobry i sprawiedliwy i mamy te granice. Dopiero świat i jego zewnętrżność zaczyna je wypaczać.

¹⁰ Bezpieczeństwo młodzieży. Poradnik prawny, Anna Maria Wesołowska, Poltext, 2014.

Może to jest wrodzone?

Tak. My się rodzimy pełni wiary w to, że świat jest dobry i sprawiedliwy i mamy te granice zakodowane. Dopiero świat i jego zewnętrzność zaczyna je wypaczać. Dlatego tak warto powalczyć o dzieci. Dlatego, chociaż kiedyś zaczynałam edukację od dyrektorów szkół, nauczycieli, instytucji pomocowych, to dzisiaj spotykam się najpierw z przedszkolakami a dopiero później z całą resztą kończąc, oczywiście, na babci i dziadku. Bo okazuje się, że kiedy rodzina się rozpada, to babcia jest najbardziej chroniącym elementem przed zewnętrżnością, przed tym światem, który dzisiaj niesie ze sobą dla młodego człowieka wiele zagrożeń. Warto wiedzieć, że babcia najbardziej chroni przed zbyt wczesną inicjacją seksualną. Dzieciaki mówią: „Pani sędzio, to normalne, bo przecież, jak ta babcia tak blisko, to głupio tak wcześnie... prawda?” A jest o co powalczyć. Nie wiemy na przykład o tym, jakim złem jest telefon komórkowy w rękach dziecka. 60% naszych dzieci, chłopców sięga codziennie na strony pornograficzne w internecie. Czy wiedzą o tym, że dopamina zalewa mózg i zmiany w mózgu są nieodwracalne? Nie wiedzą. Dlatego w Łodzi zaczyna się sporo dziać, jeżeli chodzi o profilaktykę i bardzo się z tego cieszę.

Reasumując – marzenia artystyczne, szkoły, łódzkie kamienice, młodość, studia – wywodzą się z tego miasta. Bywa Pani w całej Polsce, w różnych miejscach. W jaki sposób przedstawia Pani miasto swoim znajomym, ludziom, którzy Łodzi nie znają, o ile jest taka okazja?

Oczywiście, że jest. Ludzie do Łodzi przyjeżdżają, pytają o lofty – takie piękne... ja nawet nie znam niektórych miejsc, taka jest prawda. Ci, którzy przyjeżdżają po to, żeby zobaczyć Łódź, są zachwyceni. Ja odsyłam, oczywiście, do Manufaktury, ale również w rejon Tylnej, Kilińskiego, gdzie przecież mamy przepiękne parki...

Księży Młyn...

Księży Młyn, muzea, stare kamienice... Ja jestem tym zachwycona. A tego rejonu jako dziecko nie znałam. Dzisiaj jadę i się dowiaduję, że to kiedyś czworaki były, prawda? Familiaki się chyba nazywały¹¹. A jakie to jest dzisiaj

¹¹ W Łodzi: famuly.

piękne, z jaką precyzją odtworzone. To jest niesamowita sztuka, żeby w takich miejscach zrobić coś tak pięknego.

Na przykład jestem zauroczona MONOPOLIS¹². Tam jest ten teatr... nie ma już? Należałoby było chyba stanąć na głowie, żeby wrócił.

Scena jest...

Tam usiąść, w tym zagłębieniu i zobaczyć te niesamowite budowle, pięknie odnowione... Moim marzeniem jest jeszcze, żeby ludzie się w tym odnajdywali, żeby była między nimi nie porozumienia. Może zresztą tak jest, tylko ja mało chodzę...

Kiedyś zaproponowałam właścicielowi MONOPOLIS, że ja tam przyjdę i będę z ludźmi rozmawiać o problemach rodzinnych, które stały się podstawą napisania książki „Nie kłóćcie się”. Kiedy spytałam maluchy, jakie mają marzenia, to dowiedziałam się, że one nie marzą o piesku, kotku, lodach z rodzicami, tylko marzą o tym, żeby rodzice się nie kłócili, żeby tata do mamy nie mówił na wysokiej tonacji. „Bo oni się kłóca, pani sędzio. Zamykają drzwi i myślą, że ja nie słyszę. A ja słyszę i nie mogę oddychać i wszystko mnie boli... żeby nie bluźnili, nie pili, nie palili, nie siedzieli ciągle z telefonem komórkowym przy uchu. Żeby mama nie była smutna, żeby tata mnie częściej odwiedzał”. Czy rodzice o tym wiedzą? Nie. Nie spotkałam rodzica, a z rodzicami też mam spotkania, który wie, o czym marzą dzieci. W związku z tym, jak mamy się porozumieć?

Na koniec poproszę o krótkie hasło, które sumuje łódzki czas i Pani w nim karierę. Da się to podsumować na ten nasz jubileusz?

„Koper” to najpiękniejsze słowo świata a Łódź to najbardziej przyjazne miejsce na ziemi. Takie magiczne... czekamy na koniec remontów. Ale żeby było dobrze, musi być najpierw gorzej.

¹² MONOPOLIS - kompleks pofabryczny dawnego Monopoli Wódzanego, obecnie znajdują się w nim obiekty gastronomiczne i kulturalne.

*Wywiad przeprowadzono w prywatnym wnętrzu udostępnionym
w celu realizacji programu.*

Wersja filmowa wywiadu:



MIASTO Z GIGANTYCZNYMI MOŻLIWOŚCIAMI

Wywiad z Joanną Woś

ŚPIEWACZKA, SOPRAN KOLORATUROWY, ABSOLWENTKA AKADEMII MUZYCZNEJ W ŁODZI.

UCZESTNICZKA I LAUREATKA NAJWAŻNIEJSZYCH KONKURSÓW WOKALNYCH W POLSCE I EUROPIE.

WIELOKROTNA LAUREATKA NAGRÓD KRYTYKÓW MUZYCZNYCH.

WYSTĘPOWAŁA M.IN. W ALTE OPER FRANKFURT, DEUTSCHE OPER BERLIN, AUDITORIUM W RZYMIE, CENTRUM GALINY WISZNIEWSKIEJ W MOSKWIE, OPERZE NARODOWEJ W WILNIE, OPERZE NARODOWEJ W ZAGRZEBIU, NOWOSYBIRSKIM TEATRZE OPERY I BALETU ORAZ INNYCH SCENACH OPEROWYCH I SALACH KONCERTOWYCH NA CAŁYM ŚWIECIE.

HONOROWA OBYWATELKA MIASTA ŁODZI.

Rozmawia – Dorota Ceran

Dorota Ceran: Urodziłaś się w Kielcach, jednak wszyscy postrzegają Cię jako łodziankę...

Joanna Woś: Bo tak też się czuję. Już nie powiem, ile lat tutaj mieszkam... i ile lat więcej, niż w moim rodzinnym mieście. Z Łodzią się związałam i czuję się odwieczną obywatelką tego miasta.

Co to znaczy – być łodzianinem? Czy ma to dla Twojego życia jakieś szczególne znaczenie?

Powiem o tym, co mnie tu przyciągnęło. Przyciągnęła mnie Akademia Muzyczna. Później teatr, który w tamtym czasie miał najciekawszy repertuar w Polsce¹. Bardzo dużo się w nim działo i to było bardzo ważne dla tego miasta, dla łodzian. Były pełne widownie, było codzienne granie... i postanowiłam, że zostaję.

Przyjechałam i pamiętałam te opinie ciężące na mieście, że jest szare i ponure. I jakże się miło rozczerowałam! Jakże!? Co parę metrów jakiś park, mnóstwo zieleni, ta niesamowita architektura, piękne domy! To przecież jest piękne miasto! Jakże można mówić, że jest szare!

Pamiętasz swój pierwszy dzień w Łodzi?

Tak. Jechałam tramwajem. Przyjechałam na dworzec Fabryczny i jechałam tramwajem. I tak z tego tramwaju rozglądałam się... a jechałam do Akademii Muzycznej². Tam były dni otwarte. Można było się rozejrzeć, złożyć papiery. I ta Akademia też mnie oczarowała!!!! Ten pałac... Nikt nie ma takiej szkoły, jest jedyna taka szkoła.

Rozmawiałam z osobami, które wciąż widzą Łódź w kolorze czerni i bieli. Ty widzisz Łódź kolorową...

Łódź ma takie swoje przejściowe okresy. Raz jest lepiej, raz jest gorzej. W tej ostatniej dekadzie miasto się ruszyło. A był już taki moment, że się zapadało. Tak, jak Śląsk się zapadał po likwidacji kopalń. Po likwidacji tych

¹ Teatr Wielki w Łodzi.

² Po zakończeniu II wojny światowej uczelnia została reaktywowana jako Państwowe Konserwatorium Muzyczne (18 kwietnia 1945), a następnie w kwietniu 1946 roku przemianowana na Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną. W 1982 roku otrzymała nazwę Akademii Muzycznej, od 1999 roku noszącej imię Grażyny i Kiejstuty Bacewiczów. Od 1945 roku główną siedzibą Akademii jest pałac przy ul. Gdańskiej 32, wzniesiony w 1904 r. przez łódzkiego przemysłowca Izraela Poznańskiego dla jego syna Karola Poznańskiego według projektu Adolfa Zeligsóna.

wszystkich zakładów miasto też nie tętniło życiem. Te ciemne ulice wieczorami, i ci dziwni ludzie, którzy wychodzili wtedy, wypełzali z jakichś ciemnych zakamarków... To było wtedy bardzo przygnębiające. Kiedy się jechało do innych miast, coś się w nich działo, były czystsze, lepiej wyglądały. Aż do momentu, kiedy odważny człowiek zajął się prowadzeniem miasta.

„Odważny człowiek”, czyli kto?

Nasza pani prezydent. Nagle zaczęło wszystko rozkwitać, kwiaty się pojawiały na skrzyżowaniach gdzieś wysoko zawieszone... i to wszystko kwitnie. W tym momencie zaczęło się poprawiać. Choć wcześniej też dużo się tu działo... były rozmaite festiwale, także te związane ze Szkołą Filmową i z placówkami kultury, z teatrami.

Od początku jesteś związana z Teatrem Wielkim³?

Tak.

No i jaki to jest związek?

Czasami jest to szorstka miłość, a czasami jest to rzeczywiście zachwyt. Kiedy są wystawiane wspaniałe przedstawienia, to człowiek wchodzi w to całą duszą, w nierealny świat... to wtedy jest pięknie. Bo teatr żyje wówczas pracuje. A im więcej pracuje, tym lepszą ma pozycję, tym lepsza jest kondycja teatru. Poza tym, ludzie są zainteresowani tym, co dzieje się w tym teatrze, chcą do niego przychodzić, kiedy dzieje się coś ciekawego. Teatr musi funkcjonować.

Śpiewałaś na deskach bardzo wielu światowych scen. Jak w tym rankingu plasujesz nasz, łódzki Teatr Wielki?

Zawsze do tego teatru miałam wielki sentyment. Tutaj debiutowałam, tutaj na samo wejście dostałam rolę, o której marzą śpiewaczki przez pół życia. A ja to wszystko dostałam tak na „dzień dobry”. I przez parę sezonów miałam to, co kiedyś w marzeniach tylko przez głowę się przesuwało... I do tego teatru zawsze wracam z wielkim sentymentem. I z ciepłymi myślami.

3 Teatr Wielki w Łodzi – największy łódzki teatr, specjalizujący się w wystawianiu oper i baletów, a także operetek i musicali; druga pod względem wielkości scena operowa w Polsce. Położony jest przy placu Dąbrowskiego, pomiędzy ulicami Narutowicza, Sterlinga i Jaracza.

Kiedy się dowiedziałas, że śpiew jest Twoim przeznaczeniem, że to jest właśnie to?

W moim domu mama zawsze śpiewała. Miała piękny głos, naturalnie postawiony, o pięknej barwie... kochała śpiewać. I dużo śpiewała w domu. Myślę, że odziedziczyłam to po mojej mamie. Zawsze tam, gdzie ludzie śpiewali a byłam z mamą, pchałam się naprzód. I śpiewałam jak najgłośniej. To było darcie się, na pewno. Ale wszyscy mnie zauważyli... Czyli od początku lubiłam robić show, lubiłam być zauważona. To gdzieś tam w moim charakterze drzemie. I wszyscy mówili: „O, jaki silny głosik ma to dziecko”. I od tego się zaczęło. Później wpadłam na pomysł, że chciałabym grać na skrzypcach. Bo śpiewa każdy. Ptaki śpiewają, czyli każdy może, nie? No i rodzice kupili mi instrument. Najpierw malutkie, brzęczące skrzypce. Takie coś, co dla sklepów muzycznych produkowało się w komunie. Ale rączka rosła, ja rosłam, trzeba było kupować większe, najpierw trzy czwarte, później jeszcze większe. Te całe skrzypce to był stary instrument o ładnym dźwięku. I tak grałam, grałam... W pewnym momencie (a nie byłam aż tak pracowita, jak się wydaje, zwłaszcza, że to był głupi wiek, kiedy bardziej chce się być z koleżankami niż przy pulpicie) przestało mi się chcieć ćwiczyć codziennie przez parę godzin. I w pewnym momencie przyszła refleksja: „I co? I skończysz w jakiejś filharmonii, przy którymś tam pulpicie? No, to nie jest dla ciebie.” Jedna z moich kuzynek, które studiowały tutaj w Akademii powiedziała „Mogłabyś śpiewać. Nadajesz się.” Moim marzeniem było, żeby zostać aktorką, ale byłam zbyt nieśmiała. Bo śpiewać jest mi łatwiej, niż mówić. Dziwne, nie? No i tak to się zaczęło. No dobra... przygotowałam się, coś tam zaśpiewałam, a potem maszyna ruszyła. I tak się zaczęło.

Trafiłam do klasy pani profesor Jadwigi Pietraszkiewicz. To była taka osoba, która opiekowała się wszystkimi swoimi studentami jak matka i wszystkich tak... zgarniała do siebie. Wiedzieliśmy, że na premierę trzeba iść. Uczyla nas operowego życia. Bo jeśli się interesujesz, to trzeba chodzić, trzeba słuchać, trzeba oglądać. Teraz studenci tak jakoś, średnio... zamykają się w tych klasach i... słuchają pewnie nagrań. Ale to nie to samo, co pójście do teatru i oglądanie czegoś na żywo. I pani profesor, która miała czasami dosyć bolesne metody, wyrabiała w nas pasję, której się nie da zniszczyć, która cały czas trwa. Pewnie, że trzeba mieć jakieś predyspozycje, ale z dru-

giej strony – jak wiele zależy od nauczyciela, który rozbudzi wyobraźnię, pasję i potem to przez całe życie trwa.

Właśnie dlatego uważam, że nauczyciel to najważniejsza osoba w życiu. Oczywiście, oprócz rodziców. Od jakiegoś czasu mam takie refleksje, że społeczeństwo, które nie szanuje nauczycieli, nie jest wybitnym społeczeństwem. Nie jest scalonym, nie jest myślącym społeczeństwem. Obserwując to, co się teraz dzieje u nas, mam bardzo smutne refleksje. Kiedy ja się uczyłam, to nauczyciel był bardzo ważną osobą. I uczniowie czuli duży respekt wobec nauczycieli, wobec grona pedagogicznego. Oni byli wyrocznią... Nie mogło się zdarzyć (broń Boże!!!), by jakiś uczeń wstał i założył kosz na śmieci na głowę nauczycielowi. Było takie zdarzenie. Nie pamiętam, zdaje się, że gdzieś w Szczecinie...

W Toruniu.

Ach! W Toruniu! No tak... To byłoby wówczas niedopuszczalne. Takie dziecko dostałoby „wilczy bilet”. Mogłoby sobie szukać szkoły może w jakimś innym województwie i pod innym kuratorem.

...oraz innym nazwiskiem.

I nazwiskiem. To się właśnie nazywało – „wilczy bilet”. Kiedyś nauczyciel miał bardzo dużo do powiedzenia. Zresztą był inny system nauki. I uważam, że więcej się wtedy człowiek nauczył, niż teraz.

Bo nauczyciel powinien być mistrzem i autorytetem, a nie partnerem...?

Tu nie ma partnerstwa. Różnica poziomów wiedzy i doświadczenia jest gigantyczna, więc uczeń nie może być partnerem nauczyciela. To się absolutnie wyklucza. Nauczyciel to nauczyciel, czyli osoba, która wprowadza cię w świat matematyki, fizyki... przedmiotów ścisłych, które uczą logicznego myślenia. Teraz jakoś mniejszy nacisk się na to kładzie. Ale już nie chcę tego komentować.

A cóż dopiero powiedzieć o nauczycielach wprowadzających w świat sztuki...

No tak. Ale kiedyś program nauczania był szerszy niż w tej chwili. Każda szkoła musiała mieć na przykład zajęcia plastyczne. A to jest też dział wiedzy i rozwoju każdego człowieka. Rozwija wrażliwość, przede wszystkim. Wrażliwość na barwę, na kształt, na dźwięk. A teraz mamy głuche społeczeństwo.

W każdej szkole był chór, kółko teatralne...

Dostać się do takiego kółka to dopiero była frajda!!! Czasami człowiek mógł nie iść na jakieś zajęcia, na które nie do końca był przygotowany, bo „Mam próbę chóru, albo kółko teatralne!” Na takich zajęciach człowiek uczył się poezji, wiersza, jakichś pieśni, piosenek. I nikt wtedy na pytanie, kim jest Verdi nie powiedział, że „chyba piłkarz”. Nikt by tak nie powiedział, bo wiedziałby, że się ośmiesz. Zresztą, ta granica śmieszności, że człowiek zdradzi się ze swoją niewiedzą, była bardzo wysoka. Człowiek wolał posłuchać, niż palnąć jakąś głupotę. A dziś na przykład w telewizji słyszę takie głupoty i takie nonsensy wypowiediane bez zahamowań... i upierają się jeszcze, że mają rację! Człowiek wykształcony i inteligentny siedzi cicho, bo się boi obrazić idiotów.

To jest bardzo smutna konstatacja, ale jakże trafna.

Dotarliśmy do takiego miejsca... Kiedyś były inne zasady. Mówiliśmy o respekcie dla nauczyciela. A to się przecież z domu wynosiło, to było wychowanie. Jak ja bym się źle odezwała wobec nauczyciela, to ja bym miała w domu dużą awanturę, że matka musi się za mnie wstydzić. A dzisiaj nie... nawet „dziękuję”, „dzień dobry” i „proszę”. Tego już nie ma, to już zaniknęło. I to jest porażające. Zmierzamy w jakimś bardzo złym kierunku.

Miejmy nadzieję, że to się odwróci.

Tak, że to się da jeszcze odwrócić. Ale to już kiedyś tak było, że nagle, jak się zmienił ustrój, po komunie, to wszyscy stali się jakoś sympatyczniejsi. Był jakiś inny oddech. Ja to obserwuję na ulicy i wtedy już wiem, co się dzieje w danym mieście, kraju. Że jak chamstwo idzie środkiem ulicy, to wszyscy muszą mu schodzić z drogi. I to znaczy, że w tym miejscu nie ma kultury, nie ma żadnych zasad. Cham czuje się tu pewny.

A jak jest w Łodzi?

Różnie jest na łódzkich ulicach. Różnie. Bo to jest taki barometr – co się dzieje, co jest wolno, a czego nie wolno. Teraz nic nie jest „nie wolno”... wszystko wolno.

Kawał świata zwiedziłaś.

Tak. Jeździłam w różne zakątki świata. Przeważnie jeździłam do pracy. To było związane najczęściej z kontraktami.

Czyli teatr, hotel, teatr...

Próba, przedstawienie.

A czy w tych teatrach, tych hotelach ktoś pytał Cię o Polskę, o Łódź?

Z reguły kończyło się to na Polsce. Nazwa „Łódź” rzadko mówiła coś komuś. I oczywiście – Łódź. Pytano, jakie to miasto? Kiedyś mówiłam – milionowe. „Tak? I macie duży teatr?”, „Tak. Bardzo duży teatr”. Byli bardzo zdziwieni. Ta historia granicy żelaznej kurtyny gdzieś tam się mści. Bo byliśmy po tej zamkniętej stronie, niedostępnej. W związku z tym, ludzie nie interesowali się tym, co się za tą kurtyną dzieje, że tam jest jakaś kultura...

A co, Twoim zdaniem, należy mówić o Łodzi opowiadając o niej tym, którzy jej nie znają?

Ja jednak powiedziałabym o architekturze. Bo to miasto mnie cały czas zachwyca. Lubię chodzić naszymi ulicami, bo zawsze coś nowego zobaczę, jakąś kamienicę, której wcześniej nie widziałam. „Ojej! Jakie to ładne!” Mimo zniszczenia. Choć zniszczenie też czasem może mieć swój urok. Tak... jednak architektura.

A czy są miejsca w Łodzi, które lubisz szczególnie, do których chętnie wracasz?

Lubię tak sobie spacerować po mieście. Tak idę, zatrzymuję się,

zastanawiam, zawieszam się... jak komputer. I myślę sobie – jakie to musiało być prężne i bogate miasto. Powstało w tak szybkim tempie, ile tu musiało być pieniędzy, że powstawały te solidne, wielkie i bogate kamienice. Czyli – bogaci mieszkańcy... W całej Polsce było mniej bogato, biedniej, dużo biedniej. Bo jak się pojedzie do Krakowa, czy do Wrocławia (choć tam też był duży rozmach), do Poznania – to takich kamienic tam nie ma. Czasami jest mi żal, że nikną niektóre domy. Bo uważam, że każdy dom, jeżeli jest zadbane, na pewno jest ładny i szkoda go burzyć. Ale rozumiem, że jest dużo prywatnych kamienic i koszty są dla właściciela zbyt duże i to podupada a potem – rozpada się.

Ale czasami, kiedy idę miastem, nie poznaję miejsc.



DWORZEC KALISKI

Na przykład – ulica Włókiennicza.

Włókiennicza. Fajnie, tylko myślę sobie – co tu będzie? Zastanawiam się, jaki pomysł jest na tę ulicę, żeby była wyjątkowa? To jest krótka, malutka uliczka, jednak powinno być tam coś takiego, co by przyciągało ludzi.

Czy dworzec⁴. Okolice dworca i wszystko to, co zostało zmienione, budynki, cała masa nowych domów. To jest zupełnie inna bajka. A pamiętam stary dworzec autobusowy tutaj...

To nie była fajna bajka.

... i Łódź Fabryczna jak wyglądała! To to jest przepaść! Tego się nie da nawet opowiedzieć.

⁴ Mowa o dworcu Fabrycznym.

Żał mi na przykład dworca Kaliskiego, który był przepiękny, wyjątkowy⁵. Dlaczego oni to wyburzyli? Postawili taką budkę, jakich w prowincjonalnych niemieckich miasteczkach jest cała masa. A ten był wyjątkowy, z tymi drewnianymi peronami, z tymi daszkami, z tymi schodami...

Ktoś może powiedzieć, że dla osób niepełnosprawnych to była trudność. No to by się zrobiło windę. Wszystko można było... To był naprawdę wyjątkowy dworzec. Zniszczono tkanę, która jest niepowtarzalna.

Może pojawi się jakiś nowy projekt?

No może pojawi się jakiś nowy pomysł. Ale tak naprawdę, dworce się buduje na dwieście lat. Więc ten nieszczęsny budynek będzie stał jeszcze długo.

Słyszałam, że ma być nowy projekt.

Bardzo byśmy tego chcieli. Bo jak już ten dworzec (dworzec Fabryczny – przyp. red.) jest zbudowany z takim rozmachem, a będzie połączenie z dworcem Kaliskim, to chciałoby się, żeby ten też był trochę lepszy, a nie taka budka (w chwili, gdy oddajemy Państwu do rąk ten numer Kroniki Miasta Łodzi, rozpoczęły się prace nad budową nowego Dworca Kaliskiego – przyp. red.).

Gdybyś miała nazwać Łódź jednym, dwoma, trzema słowami, to jakie by to były słowa?

Miasto z gigantycznymi możliwościami.

Cztery słowa...

Cztery. Bo uważam, że tu jest niewykorzystany potencjał tego miasta. To cały czas się rozbija o jakieś ustawy, zatrzymywania, jakieś protesty - że tu coś nie warto... Warto! Albo, że to za blisko Warszawy... No i co z tego, że blisko Warszawy?

⁵ Dworzec wraz z budynkiem zaprojektowanym przez architekta Czesława Domaniewskiego wybudowano w latach 1900–1902. Główny secesyjny budynek dworca był uważany za jeden z najpiękniejszych budynków użytkowych Łodzi. Służył do lat 80. XX wieku.

To może być nawet atut.

Oczywiście. Można zrobić konkurencję. Warszawa nie ma takiej struktury. Łódź to takie geometryczne miasto, takie kompaktowe. Wszędzie można się dostać na nogach, wszędzie jest blisko. Tyle pięknych miejsc, które tu można stworzyć...

*Rozmowę przeprowadzono w prywatnych wnętrzach
jednej z łódzkich kamienic.*

Wersja filmowa wywiadu:



ŁÓDŹ BRZMI NAPRAWDĘ DUMNIE

**Wywiad z Donaldem Tuskiem
gościnnie na łamach Kroniki
Miasta Łodzi**

POLITYK, Z WYKSZTAŁCENIA HISTORYK,
WSPÓŁZAŁOŻYCIEL KONGRESU LIBERALNO-DEMOKRATYCZNEGO
ORAZ PLATFORMY OBYWATELSKIEJ,
W LATACH 2007–2014 PREZES RADY MINISTRÓW,
W LATACH 2014–2019 PRZEWODNICZĄCY RADY EUROPEJSKIEJ.
KASZUBA, GDAŃSZCZANIN.

Rozmawia – Dorota Ceran



DONALD TUSK
FOT. PAWEŁ ŁACHETA

Dorota Ceran: Panie Premierze, nie jest Pan łodzianinem, ale jest Pan trochę nasz. Dlaczego? Dlatego, że łodzianie bardzo cenią sobie wolność, po drugie – poszanowanie pracy i drugiego człowieka i wykuwanie własnego losu. Myślę, że to są te wartości, które wspólnie reprezentujemy.

Donald Tusk: Jest coś takiego, co powoduje, że właściwie dla każdego, kto jest zanurzony w historii Polski Łódź jest miejscem szczególnym. Nie tylko dlatego, że do niedawna było to drugie największe miasto w Polsce. Jest też ważne dla mnie, jako kibica sportowego, bo byłem wychowany w kulcie dla wielkiego Widzewa. Wiem, że czasami przesadzam z tą moją pasją, ale rzeczywiście to skojarzenie sportowe też ma dla mnie znaczenie.

Mało które miejsce ma tak czytelny branding kulturowy. I „Ziemia obiecana” stała się być może najlepszą ilustracją tego, że jak człowiek myśli – Łódź, to myśli też - polski przemysł, włókienniki... jest ileś tam takich bezpośrednich skojarzeń z Łodzią. Poza tym - wielki wysiłek rewitalizacyjny, jeśli przejdziemy do czasów nam bliższych. Byłem pod wielkim wrażeniem, kiedy obserwowałem to z bliska. Bo to też jest moja kolejna wielka pasja – rewitalizacja. Jak ktoś się urodził w Gdańsku i z bliska obserwował, jak miasto z ruin powstaje, ten wie, jak wielkie znaczenie ma ten ciągły wysiłek odbudowy. Łódź była zdewastowana – nie tak jak Gdańsk po wojnie – ale była to dewastacja po kilkudziesięciu latach eksploatacji tego miasta.

Mało które miejsce ma tak czytelny branding kulturowy. I „Ziemia obiecana” stała się być może najlepszą ilustracją tego, że jak człowiek myśli – Łódź, to myśli też - polski przemysł, włókienniki... jest ileś tam takich bezpośrednich skojarzeń z Łodzią.

Nasze pokolenie pamięta, jak wyglądała Łódź, nawet Piotrkowska. To było miasto...

... szare, smutne...

i właściwie zrujnowane w wielu miejscach. Do dziś pamiętam te pierwsze rozmowy z najbardziej zaangażowanymi łodzianami, którzy mówili: „To naprawdę może być piękne miasto”. Nie może być tak, że w Polsce ludzie na słowo „Łódź” będą reagowali – „... a... no Łódź... wielka, ale zdewastowana”. Teraz, jak ostatnio byłem w Łodzi i patrzyłem z perspektywy dziesiątego piętra hotelu na panoramę miasta, to nawet z tej perspektywy widać, że coś bardzo fajnego dzięki łodzianom się udało, że Łódź jest znów miejscem, w którym warto żyć. A byłem bardzo przygnębiony tymi statystykami, kiedy w ostatnich kilkunastu latach było widać, że ludzie, szczególnie młodzi, z Łodzi uciekają.

Trochę się to teraz odwraca.

To bardzo wyraźnie widać, że jakość miejsca ma wielkie znaczenie, że nie ma jakiegoś fatalizmu, który sprawia, że chce się uciekać na przykład z Łodzi do Warszawy... nie. Jeśli się włoży dużo serca, wysiłku, wyobraźni, to Łódź może stać się miejscem konkurencyjnym, jeśli chodzi o atrakcyjność życia. I dlatego może też być symbolem optymizmu dla wszystkich trochę zapomnianych czy opuszczonych miejsc w Polsce.

Bywa Pan w Łodzi w sytuacjach oficjalnych, służbowych. Był Pan u nas pod koniec lutego. Obejrzał Pan naszą ukochaną Mediatekę¹ i nawet w LEGOWISKU Pan był.

Tak, nawet przez chwilę pobawiłem się klockami. W końcu chłopiec drzemie...

...w każdym dorosłym mężczyźnie.

No właśnie.

¹ Mediateka MEMO - nowa multimedialna biblioteka, która powstała w zabytkowej willi łódzkiego fabrykanta Ludwika Meyera przy Moniuszki 5 w Łodzi. Poza księgozbiorem oferuje szeroki wachlarz propozycji spędzania czasu: mi.in gry komputerowe, planszowe, symulatory jazdy i lotów, salę muzyczną czy salę z klockami LEGO, zwaną LEGOWISKIEM.

Ale czy bywa Pan w Łodzi prywatnie? Na przykład podążając szlakiem galerii sztuki? Wiem, że to Pana interesuje, a w Łodzi mamy się czym pochwalić w tej materii.

To jest przede mną. Przyznaję się bez bicia, że moje losy spowodowały, że przez ostatnie kilkanaście lat – wtedy, kiedy byłem premierem a później szefem Rady Europejskiej – praktycznie moja obecność w Polsce oznaczała wyłącznie obecność z wnukami i dziećmi w Trójmieście. Więc mam tutaj wielkie zaległości. Dlatego teraz jestem bardzo podekscytowany, bo to jest dla mnie nie tylko perspektywa łódzka, ale jest wiele miejsc w Polsce, które mam zapisane w pamięci i dla których muszę znaleźć też czas prywatnie.

Oczywiście, mam wielu przyjaciół w Łodzi, więc moje prywatne pobyty w Łodzi przed laty naprawdę miały charakter prywatny i bardzo taki... łódzki. I to były spotkania z ludźmi, a nie z instytucjami.

Zapraszamy do galerii malarstwa w Muzeum Pałacu Herbsta². Myślę, że na pewno będzie Pan zadowolony.

Ok.

Panie Premierze, Łódź to jest też miasto, w którym ludzie mają silną sprawczość obywatelską, tak bym to zjawisko nazwała. Dowodem

Oczywiście, mam wielu przyjaciół w Łodzi, więc moje prywatne pobyty w Łodzi przed laty naprawdę miały charakter prywatny i bardzo taki... łódzki. I to były spotkania z ludźmi, a nie z instytucjami.

² Muzeum Pałac Herbsta – oddział Muzeum Sztuki w Łodzi mieszczący się w neorenesansowej willi Edwarda Herbsta w Łodzi. Poza oryginalnymi wnętrzami fabrykanckiego pałacu muzeum prezentuje z kolekcję sztuki dawnej w budynku powozowni.

na tę sprawczość była akcja „Murem za Hanką”, kiedy nie pozwoliliśmy zrobić krzywdy wówczas, gdy ta krzywda mogła się stać. W związku z tym mam refleksję i pytanie – czy to nie jest tak, że im gorzej w sferze demokracji w kraju, tym te oddolne ruchy w sferze obywatelskiej są silniejsze?

W niektórych miejscach ludzie jakoś lepiej się organizują, mają więcej inwencji, czasami więcej odwagi, bo to też z tym się wiąże i to wcale nie jest tak, że to musi być nad morzem, albo, że to musi być miejsce w jakimś pięknym środowisku naturalnym, albo, że musi być wielkie, albo przeciwnie – nie za duże, żeby ludzie się znali... nie, nie ma takiej reguły.

Nie jestem pewien, czy ta reguła jest taka bardzo powszechna. Gdyby tak było, to właściwie w całej Polsce dzisiaj powinniśmy mieć wykwit aktywności obywatelskiej. A tak nie jest. Na pewno genius loci decyduje o tym, jakieś specyficzne powody, dla których niektóre regiony są bardziej aktywne obywatelsko, niektóre mniej. Ja akurat pochodzę z Gdańska i cały jestem w Gdańsku zanurzony, więc mogę powiedzieć z całą pewnością – a zjeździłem kawał świata i obserwowałem różne miejsca na ziemi – w Polsce, w Europie, na świecie – od strony właśnie aktywności obywatelskiej, że z całą pewnością jest tam coś magicznego i my do końca nie odkryjemy tej zasady. W niektórych miejscach ludzie jakoś lepiej się organizują, mają więcej inwencji, czasami więcej odwagi, bo to też z tym się wiąże i to wcale nie jest tak, że to musi być nad morzem, albo, że to musi być miejsce w jakimś pięknym środowisku naturalnym, albo, że musi być wielkie, albo przeciwnie – nie za duże, żeby ludzie się znali... nie, nie ma takiej reguły.

Może to uwarunkowania historyczne?



DONALD TUSK I HANNA ZDANOWSKA W MEDIATECE MEMO
FOT. PAWEŁ ŁACHETA

Tak, ale w przypadku Łodzi ja bym nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Wspomniała pani akcję na rzecz Pani Prezydent Zdanowskiej... ona sama w sobie jest bardzo łódzka.

Ja ją poznałem, kiedy była właściwie nikomu nieznaną, skromną osobą. Działała wtedy w jednej z łódzkich organizacji gospodarczych i obserwowałem takie jej obywatelskie wzrastanie od samych początków. I w jakimś sensie Pani Prezydent jest jak Miasto Łódź.

I prowadzi czołg, jakim jest nasze miasto.

Tak. Użyłem tej symboliki nie przez kokieterię, tylko dlatego, że miasto Łódź i losy wielu ludzi, także Pani Zdanowskiej, to losy wbrew okolicznościom. I myślę, że to jest źródło siły łódzian i Łodzi, bo tam wszystko jest trochę trudniej. Jest bliskie sąsiedztwo Warszawy, a wiadomo – stolica

w wielu wymiarach będzie zawsze bezkonkurencyjna wobec wszystkich miast. Tak jest nie tylko w Polsce. Upadający przemysł... Upadek komunizmu, który w tak wielu miejscach w Polsce był tym momentem największej radości, bo przychodzi wolność, w innych miejscach był powodem katastrofy.

W Łodzi przez chwilę – na pewno...

Bez dwóch zdań. Chyba nie ma drugiego takiego miejsca, jak Łódź... No bo ok... Wałbrzych miał podobny los, ale jest jednak mniejszym miastem. Śląsk – podobna sytuacja, wydawałoby się, ale dużo więcej możliwości, bo to jednak jest prawie pięć milionów ludzi i kilka różnych miast. Łódź natomiast była dosyć monokulturowa w sensie przemysłowym i kiedy ciosy padły, to dotknęły całe miasto. Do tego problemy – te sprzed rewitalizacji, jeśli chodzi o substancję miejską. Łódź inaczej niż wiele miejsc w Polsce, by być miejscem atrakcyjnym, wymaga ludzkiego wysiłku. Natura nie dała Łodzi zbyt wielu powodów, dla których powiedzielibyśmy: „O, to jest fajne miejsce na ziemi.” Wszystko, co jest fajne w Łodzi wymaga wysiłku człowieka i dlatego ten koniec lat osiemdziesiątych to był okres dramatyczny, bo wysiłek wielu pokoleń tak jakby zniknął. Trzeba było na nowo tę Łódź zbudować i było wiadomo, że to wszystko będzie się działo w umysłach i w sercach ludzi. To nagle nie stanie się piękne miasto, bo są góry, bo jest morze... Ja to naprawdę bardzo doceniam, bo sam urodziłem się w miejscu uprzywilejowanym. Jednak Gdańsk z oczywistych względów jest miejscem uprzywilejowanym. Ludzie z Krakowa też zawsze mogą sobie myśleć z poczuciem wyższości: „Nooo, Kraków jest jeden...”, a w Łodzi trzeba wszystko wypracować. W Łodzi czuje się coś takiego... teraz ostatnio jak byłem, to było wyczuwalne jak tkanina, jak jakaś materia, ta energia człowieka, która wcale nie najłatwiejsze miejsce na ziemi zamienia w miejsce znowu atrakcyjne.

I coraz bardziej przyjazne, trzeba przyznać, także dla samych łodzian. Z całą pewnością. Panie Premierze, ja jestem łodzianką, Pan też ma swoją małą ojczyznę. Te małe ojczyzny są ważne w naszym życiu, mimo że przecież jesteśmy Europejczykami, czujemy się nimi. Jak powinno być ważne, jak jest ważne określenie tych najbliższych nam korzeni?

Jak odrzucimy przesadnie teoretyczne myślenie na temat tożsamości, na temat tego, kim jestem – bo można piękne akapity pisać – to jak patrzę na siebie i myślę:

„Kim tak naprawdę jestem?” to pierwsza moja przynależność jest narodowa. Niektórzy robią z tego zły użytek. Ale jak myślę, kim jestem, to przede wszystkim jestem Polakiem. Druga intensywność w tej emocji po narodowościowej, to jest miejsce zamieszkania, miejscowość, moje miasto. Jestem gdańszczaninem.

Wprawdzie mieszkam w Sopocie, ale wiadomo – to jest jeden organizm. Jestem Kaszebą. Historycznie – bo od trzech pokoleń w mieście, a to etni kaszubskie, ta żywotność kultury kaszubskiej jest bardziej wiejska. Jednak czuję się Kaszebą. I na końcu - Europejczykiem. Ale nie oszukujmy się, to jest bardziej taka świadomość kulturowo-geo-polityczna, a nie emocja wewnętrzna. Chociaż, jak słyszę hymn Unii Europejskiej, to też robi mi się ciepło wokół serca. Mówię o tym dlatego, bo ludzie w dużych miastach umieli najszybciej to zaadaptować, że różne tożsamości nie muszą oznaczać konfliktu, nie muszą się wykluczać nawzajem, tylko wręcz przeciwnie. Znaczą, jestem Europejczykiem, bo jestem Kaszebą, bo jestem Polakiem, bo jestem gdańszczaninem. Gdańszczaninem jestem, bo urodziłem się na Kaszubach, a Gdańsk zawsze był tą prawdziwą stolicą Kaszub. Jestem Polakiem, bo wszystko jest we mnie polskie i dlatego też jestem Europejczykiem... i tak moglibyśmy sobie to na różne sposoby przeplatać.

Ale jak myślę, kim jestem, to przede wszystkim jestem Polakiem. Druga intensywność w tej emocji po narodowościowej, to jest miejsce zamieszkania, miejscowość, moje miasto. Jestem gdańszczaninem.

Ja znam bardzo wielu łodzian, którzy z autentyczną dumą mówią o swojej... jak to powiedzieć?

Łodzianin – lodzermensch...

Ale... to jest „łodzianość”? Mówimy o „gdańskości”, „warszawskości”, tu będzie najtrudniej... Ale „Jestem z Łodzi” - brzmi dumnie.

„Z miasta Łodzi”.

A to, co stało się fenomenem ostatnich lat to to, że z całej historii Łodzi, ze wszystkich tych czasami pozornych słabości ludzie w Łodzi uczynili źródło siły i powód do dumy. I dzisiaj to, co w Łodzi się udało, to zbudować synergii i syntezę tych wszystkich wątków, które z Łodzią się kojarzą.

Naprawdę, jak widzę twarze i słyszę ludzi, jak mówią „Jestem z Łodzi”, to widać, że to coś znaczy dla nich.

Kiedyś, kiedy mówiliśmy komuś, że jesteśmy z Łodzi, to widzieliśmy w oczach wielu ludzi rodzaj takiego... współczucia... „Oj, jesteś z Łodzi, to chyba nie najlepiej.”

W tej chwili odczuwam, zresztą nie tylko ja, swoistą modę na Łódź.

Choćby z tego względu, że mamy bardzo wielu turystów. Czy będąc poza Łodzią, zauważa Pan takie zjawisko?

Tak. Zdecydowanie. Pamiętam dokładnie ten czas, kiedy było tych kilka miast, gdzie wydawało się, że one mają tak, że ludzie tam mieszkający mogą mówić „Ja jestem z Gdańska, jestem z Warszawy, jestem z Karkowa”. A dalej to już trochę gorzej. W sensie takiego potocznego wyobrażenia. Za czasów PRL-owskich żyliśmy teoretycznie w republice robotniczo-chłopskiej i słowo „robotnik” miało brzmieć dumnie – ale

jak się mówiło wówczas „robotnicza Łódź”, to ja wcale nie jestem pewien, że wszyscy byli z tego powodu jakoś szczególnie dumni. Z tego, że Łódź się kojarzyła jako miasto robotnicze. A to, co stało się fenomenem ostatnich lat to to, że z całej historii Łodzi, ze wszystkich tych czasami pozornych słabości ludzie w Łodzi uczynili źródło siły i powód do dumy. I dzisiaj to, co w Łodzi się udało, to zbudować synergii i syntezę tych wszystkich wątków, które z Łodzią się kojarzą. Można to wywieść i z literatury i z filmu... i z realiów. I z architektury. To, że Łódź kojarzy się dzisiaj na przykład z obiektami post przemysłowymi, dobrze zaadaptowanymi, służącymi w bardzo nowoczesny sposób, i że stała się w większym stopniu niż jakiegokolwiek inne polskie miasto chyba, dorobkiem nowoczesnej przestrzeni europejskiej, z której tak dumny jest Londyn, Dublin czy Liverpool i wiele miejsc w Europie, które pokazują „Zobaczcie, tu był przemysł, zmieniło się, ale myśmy uratowali tkaninę”. Tak jak w Gdańsku staraliśmy się uratować przynajmniej fragmenty stoczni i dźwigów, żeby ten autentyczny duch miejsca pozostał. W Łodzi to chyba jest teraz widoczne w stopniu największym w tej chwili. To wszystko zaczyna do siebie pasować, budynek dawnej fabryki nie musi straszyć, tylko zamienia się albo w takie epicentrum kultury, albo...

... i jeszcze jest piękne.

No jest coraz ładniejsze! Pamiętam kiedyś, cały wieczór, prawie pół nocy szliśmy tą nową Piotrkowską z grupą przyjaciół z Łodzi. I oni byli tacy dumni... Piotrkowska! No tak, no najpiękniejsza, albo jedna z najpiękniejszych ulic czy deptaków (jak zwał tak zwał) w Polsce! Ale później okazało się, że nie skończyło się na jednym takim kapitalnym przedsięwzięciu. Okazało się, że można zrewitalizować fabrykę, że można zrewitalizować ulicę, która upadła... tak, tam się czuje tę zdolność do syntezy.

Kiedyś mówiło się w Łodzi, że Łódź to ulica Piotrkowska i te domy, które się na niej nie zmieściły.

Tak, tak...

Na szczęście to mamy już za sobą.

Nawet teraz, jak byłem ostatnio, zaglądałem z zaciekawieniem w boczne ulice od Piotrkowskiej i rzeczywiście jest coraz lepiej.

Ja jeszcze na chwilę wrócę do sportu. Ponieważ obiecałam redaktorowi naczelnemu, Mariuszowi Gossowi, że zadam to pytanie. On jest wielkim miłośnikiem ŁKS-u. A z kolei mój ojciec, mimo że był profesorem historii, bizantynistą, to swego czasu był bokserem. Bokserem Gedanii Gdańsk, jak również ŁKS-u (prof. Waldemar Ceran - przyp. red.) Więc ten ŁKS również mnie jest bliski. Czy w związku z tym mogę liczyć na kilka ciepłych słów także na temat ŁKS-u?

Nie mam z tym żadnego problemu. Jestem też z tego pokolenia, które modliło się z wdzięcznością do Jana Tomaszewskiego po Wembley. A później się zaprzyjaźniliśmy i graliśmy razem w piłkę wiele razy, więc rozumie pani, jaka to satysfakcja dla mnie jako piłkarza amatora, skoro dwa razy z Tomaszewskim w jednej drużynie mogłem zagrać. Byłem zaprzyjaźniony bardzo ze Staszkiem Terleckim...

... który był studentem mojego ojca.

A... to tym bardziej - mamy wspólnych bohaterów w przeszłości. Boks! Ba, ja jestem z tego pokolenia (jestem też fanem boksu), że dla mnie nazwisko Gortat nie musi oznaczać tylko Marcina, ale też brata (Robert Gortat – przyp. red.) – sędziego i ojca - Janusza. Jego walkę na srebro pamiętam do dzisiaj.

Kiedy mówię wpierw o Widzewie, a dopiero później o ŁKS-ie, to dlatego, że bardzo wielu piłkarzy (jednak to piłka jest moją największą sportową pasją) z Gdańska, z Gdyni przeszło z różnych powodów do Widzewa i dla tego ten sentyment jest trochę bardziej czerwony³ niż...

Wyście pokazali, że można uwierzyć we własne siły w najtrudniejszym momencie, czy w jednym z trudniejszych momentów w historii.

Panie Premierze, ja wiem, że nie mamy dużo czasu, więc podsumowując... dla Łodzi to szczególny czas, to

³ Barwy Widzewa to: czerwony – biały – czerwony.
Barwy ŁKS to: biały-czerwony-biały.

rok naszego święta, które zdarza się raz na 600 lat, jako że świętujemy sześćsetlecie naszego miasta. Czy ma Pan dla nas, dla łodzian jakieś przesłanie na ten czas?

To, co najważniejsze wam się udało (i bylebyście wytrwali w tym przekonaniu) to to, że nie ma takich okoliczności, nie ma takich zdarzeń, nie ma takich nieszczęść, które mogłyby spowodować, że słowo „Łódź” miałoby brzmieć jakoś mniej dumnie, czy mniej godnie.

Wyście pokazali, że można uwierzyć we własne siły w najtrudniejszym momencie, czy w jednym z trudniejszych momentów w historii. I umieliście to wszystko, co składa się na ten fenomen tak idealnie zmontować, że Łódź - brzmi naprawdę dumnie.

Rozmowę przeprowadzono w Biurze Krajowym Platformy Obywatelskiej w Warszawie.

Wersja filmowa wywiadu:

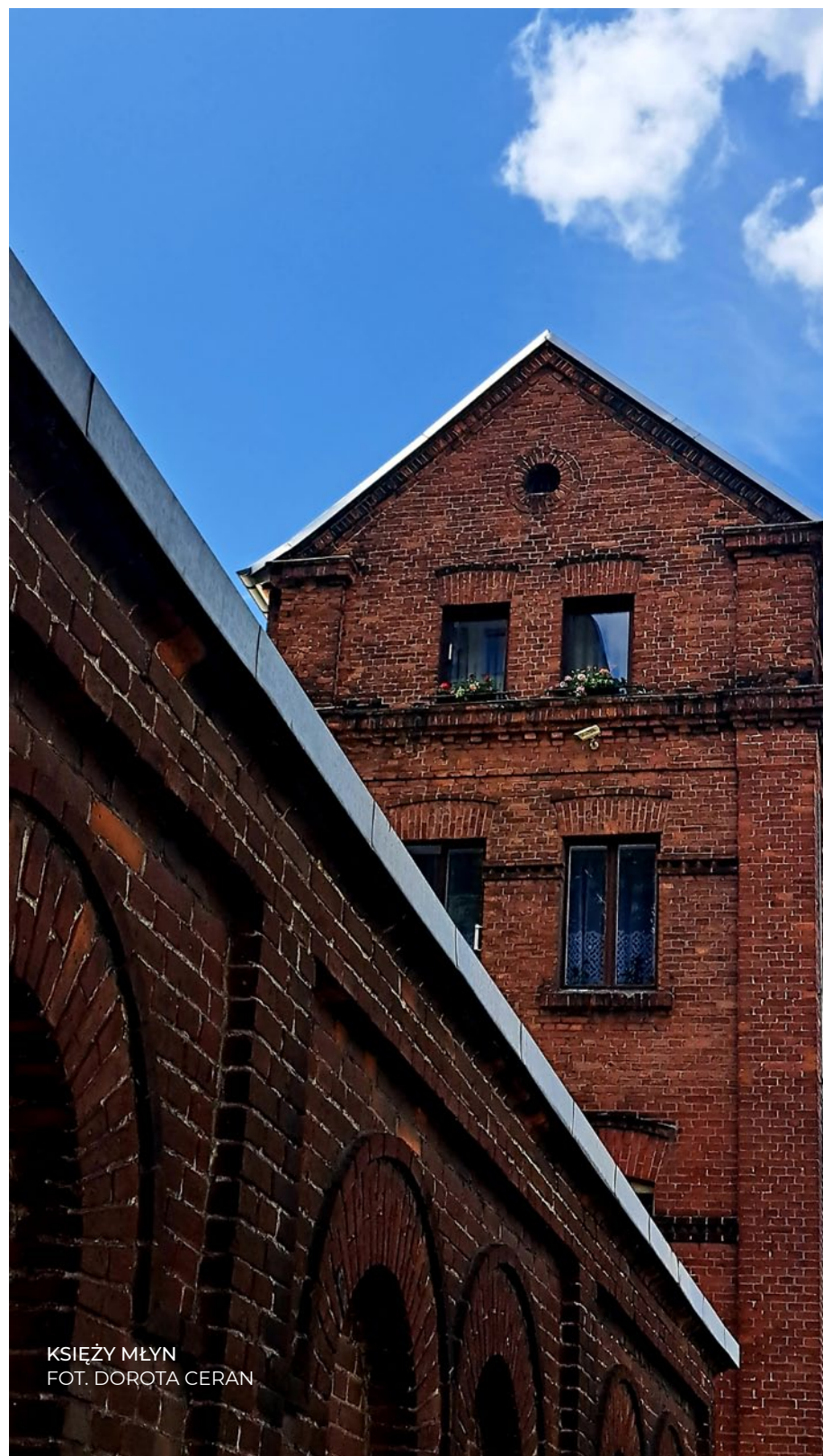




III LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE,
OKOLICE PARKU IM. SIENKIEWICZA
FOT. DOROTA CERAN



RÓŻE W PASAŻU RÓŻY
FOT. DOROTA CERAN



600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

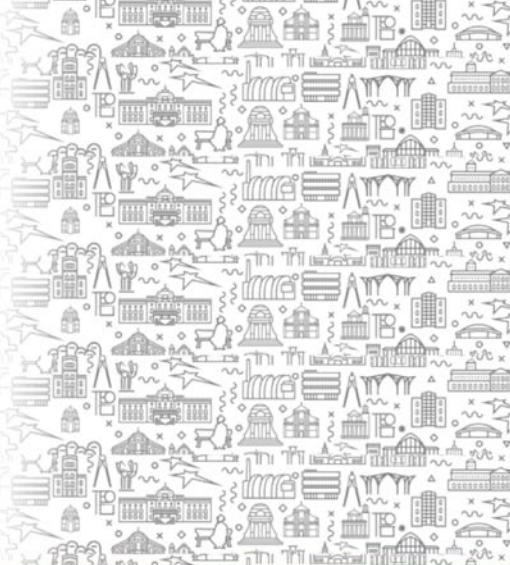
600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS



600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS



600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

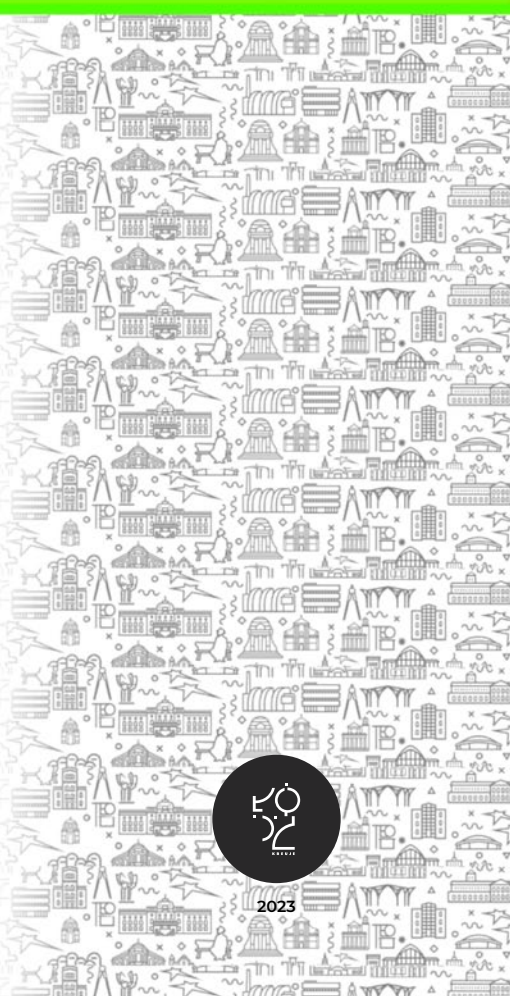
600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS



600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

600 LAT ŁODZI
EX NAVICULA NAVIS

